11748

Bibl. Jag.

IV

Bibl. Jag.

AP 120 c I

Teka pośmiertna
Felicjana Faleńskiego

1. autobiografia (31 stron – maszynopisu ± 50.)
2. „Ze zbioru Świrskiego podstarościca" (63 wiersze)

Nb: Te rękopisy (kopie autografu?) przysłała w r. 1914 do ogłoszenia w „Lamusie" córka poety Pani Marconi. Z powodu wojny nie wyszedł już 5y rocznik Lamusa, który miał zawierać te rzeczy. Pani M. po wojnie już pisała do mnie o zwrot rękopisów, ale list ten doszedł mnie b. późno i z powodu wypadków różnych, mimo późniejszego uporządkowania mej korespondencji zapodział się. Nie znam przeto adresu pani M. – (Ponieważ rękopisy te są kopiami, pani M. musi posiadać przeto oryginały). Tymczasowo składam je w archiwum, w razie możności odesłania rkp., w każdym razie dla archiwum przepiszę autobiografię – gdyż nie zbyt jest prawdopodobnem by ją gdzie wydrukowano w obecnych czasach i to in extenso, posiada przeto walor archiwalny.– [illegible] 1932

1

…niu

…).

…lo
…Nie=

…naj=
…a
…ły=
…dip=
…aka=
…pe=
…rze
…wa
…rz
…kie.
…o=

…ím.
…=
…w

…o=
…d

…e=

…l=
…).
…e=
….

…=
…o=
…n=
…=
…no=
…=
…n
…ne=
…=
…a=
…n=
…é
…n=
…dy=
…=
…o

gur
Bl
czę
z
o
u
u
zo
bo
b
Dz

AP120 a

I

mnie kierunek.

W tych marzeniach kończyłem właśnie kształcić gimnazyjalną moją wiedzę, kiedy w tem, na osobiste moje nieszczęście (bo jużci z niemałą zkądinąd dla kraju korzyścią), zaprowadzono dwuletni kurs prawa. To mię niezwłocznie, wbrew mojej chęci, wtrąciło w zawód, do którego nigdy najmniejszego nie miałem pociągu. Dziś, kiedy się nad tem zastanawiam, sam czuję się winnym straconych próżno trzech lat sposobności wzbogacenia sobie umysłu. Było to w r. 1841, miałem wtedy ledwie lat szesnaście, więc jeszcze w najlepsze uczyć się potrzebowałem. Nauka prawa w każdym razie przydać mi się mogła, i nawet nie powiem, żebym i tak z niej coś nie skorzystał, – ale właśnie te moje lat szesnaście i ta literatura w głowie, potrzebowały choć trochę przyjaźniejszego kierunku; a ten tymczasem, wcale przeciwnie, despotyczny był i bardzo nie miły. Więc zeszło na to: że niby na złość zrobiłem… ale sam sobie. Pamiętam, za życia ojca, ile razy mowa była o wybraniu dla mnie zawodu, ja się zawsze przy literaturze mojej bywało trzymałem. – „Ale zważ chłopcze – mówił mi ojciec – literatura chleba nie daje – nawet uczoność.” W najlepszym razie możesz być nauczycielem drugich – a to znowu chleb twardy. – Miałem zawsze wielkie upodobanie do nauki języków. Chcąc to w jakiś korzystniejszy nieco sposób zużytkować, miał zamiar ojciec do Paryża mię na Uniwersytet wysłać, na wydział Wschodnich języków. Tam, do karyery dyplomatycznej miałem się sposobić, lub choćby na oryentalistę, jak Kazimierski, Chodźko lub Żaba. Myśl ta stała się już była życia mego marzeniem – jak tu z niej tedy teraz, do tej przemocą narzuconej mi rzeczywistości było zstąpić? Więc też doprawdy na owych prawnych kursach wcale przykładnym uczniem nie byłem 1). Jeszcze kurs pierwszy przebyłem jako tako; wierzyłem bowiem, że, jak mi to zaręczano, na nim się cała moja nauka skończy, – ale potem, kiedy mi oświadczono: że mam stanowczo prawnikiem zostać, zwolna opuściłem się zniechęcony, i to do tego stopnia, że już z drugiego kursu egzaminu nie zdałem. Zmuszono mię zostać na rok następny – ten zaś fatalnie się dla mnie zakończył, jak o tem poniżej powiem. – Obecnie, chciałbym jeszcze choć kilku słowy streścić osobliwsze dzieje owej epoki, wpośród której, obok rozlicznych przykrości domowych, rozwijało się tymczasem życie moje młodzieńcze.

~~Polska nasza, a właściwie~~ Warszawa, przedstawiała wtedy na małą skalę niby Rzym pogański ucztujący niegdyś szalenie ponad cichą katakumb robotą. ~~Katakumbami temi była tu ma się rozumieć nieprzenikająca nigdy Cytadela – Ale stąd, jak tam~~ z Ka-

---

1.) Bezstronność zmusza mię wspomnieć w tem miejscu: że były jednak przedmioty, do których mogę powiedzieć zamiłowanie nawet miałem. Do takich liczę Prawo Rzymskie, oraz dawne nasze Polskie. Inne za to, suchym wykładem swoim odstręczały mię i dziwnie mi się przykrzyły.*)

*) Przypomina mi się w tym względzie stary, może nawet palestrancki, ale pewniej chyba Rybałtowski, następujący morał:

„Nie wiele wskórasz ex codice –
Jeżeli w kabzie masz modice.
Nie wiele dadzą ci leges –
Jeżeli pecuniam eges.
Ni też wzbogacisz się jure –
Jeśli w kieszeni masz dziurę.

AP120

takumbami, nic nie mieli wspólnego ci, co życia używali 1.). A używali go aż do zużycia. ~~Ale tak sobie właśnie Rząd opiekuńczy uprzejmie życzył~~ – ~~więc~~ sposobności potemu ~~spodziewam się~~ nie brakło, owszem, na każdym kroku ją nastręczano. Bystrym nadzorcą wszelkich możebnych uciech, ~~a w tej liczbie~~ i Prezesem Dyrekcyi Teatrów, był naonczas, wielce poufny Paszkiewiczowi Oberpolicmajster, Abramowicz; – Zaczem, samo już połączenie dwóch tych władz w jednem ręku, dostatecznie o ich wzajemnej pomocy objaśnia. Więc tedy, dramatu jakiegoś podnioślejszego ani było marzyć, – Szekspira Boże uchowaj – za to Komedye, ile możności jak najweselsze, najbrudniejsze i najgłupsze 2.). Opera włoska – a mieliśmy jednak swoją własną wyborną (Dobrski, Troszel, Rywacka, Rivoli, – później Miller, Keller, Leśniewska), a zwłaszcza balet. Zawsze nader troskliwie w liczną rzeszę ładnych tancerek zaprowidowany 3.). Ztąd już proste jest przejście do owego nieustającego Karnawału, na którem one, czy im podobne, równie dniem jak nocą z powołania swego przodowały. Trudno dziś zrobić sobie pojęcie, ile to w tej Warszawie ówczesnej, o połowę niż dziś mniejszej, znajdowało się wtedy: Sal, Ogródków, przejażdżek za miasto, i najprzeróżniej ucieszniych wycieczek. Do najsłynniejszych (we względzie Sans façon) należały: Sala w Pałacu Paca, w pałacu Kossowskich (dziś hr. Zawiszy), Ogródek Ohma (tuż za rogatkami Wolskiemi, jakiś inny jeszcze na końcu Leszna, Zacisze, Ogródek Zielony, Czerwony – był nawet Czarny (wszystko to w Alei Ujazdowskiej), i djabli już wreszcie wiedzą, ile tam jeszcze najrozmaitszych Ustroni, Pawilonów rozkoszy, i Miłych Schronień. Tam wszędzie Kankan panował nieposzlakowany – tam kwiat młodzieży, rozpasanej, otrawnej, zgranej 4.), pijanej, wyzutej z wszelkiego wstydu, szargał

1.) Trochę pod wpływem bardzo wziętego naówczas Suego, napisałem był na razie dwutomową powieść, pod tytułem „Pan z Facyatki." Tam, starałem się niejako dwa te światy z sobą zestawić. Ale później, już to dla nazbyt jaskrawego kolorytu, już z przyczyn które poniżej wyłuszczę (w r. 1844) zmuszony byłem ją spalić. –

2.) Sądzę, że potomność miałaby wszelkie prawo dość surowo w tym względzie, Żołkowskiego sądzić. W istocie, wielki ten geniusz sceniczny, śmiało to powiedzieć można, za nazbyt łatwą popularnością goniąc, przy wrodzonem sobie lenistwie, na czas długi sztukę naszą poniżył. Na obronę jego wyrzec się godzi: że za mało z natury intelligentny, a jeszcze mniej wykształcony, nigdy się ani opatrzył, że był tylko nader pojętnem w ręku władzy narzędziem. Bo przecież wiadomo zkądinąd: że jednocześnie, wyrastającego niespodzianie Dawisona, bardzo gburowato z Warszawy się pozbyto. A kiedy wreszcie zawitał na scenę Korzeniowski, to niemal tyleż ze strony Dyrekcyi jako Autor doznawał trudności, ile i Komorowski jako Aktor, prawdziwie poważnego scenicznego nastroju.

3.) Przy ogólnem wtedy wycieńczeniu umysłowem, nierzadko, bywało, gorączkowano się stronniczo w obronie wdzięków czy tańca tej lub owej baletniczki. Byli zapaleni zwolennicy panny Wend lub Trawny (ta ostatnia nawet, na złość przeciwnikom, wyszła za hr. Henryka Starzyńskiego). Kiedy przyjechała do Warszawy słynna Lola Montez, niezbyt przez Abramowicza protegowana (bo on wierzył tylko w Gwizdecką), gruby Lesznowski, Redaktor Gazety Warszawskiej, tak zamaszysty ku jej obronie animusz w sobie rozwinął, że aż do kozy za to na dni kilka posiedł, a jeszcze w dodatku długo potem o Teatrze ani źle ani dobrze pisać nie było wolno. –

4.) Wszystko to praktykowało się niemal publicznie. Tak u niejakiego Listowskiego, dymissyowanego Majora (wojsk Rossyjskich – zwano go półkownikiem), niby trochę Kompozytora i amatora teatru, dniem i nocą, czy był w domu czy nie był, nigdy nie próżnowały zielone stoliki – nie brakło też pań uprzejmych, których on zawsze pełno przy sobie trzymał. –

resztki zdrowia, zszargawszy już sumienie, a jeszcze wprzódy zaprzedawszy się lichwiarzom, lub co gorsza jeszcze, tajemnemu Rządowemu wsparciu. Warszawa sama nie byłaby podołała owej Saturnalii, więc też prowincya[1] dostarczała obfity zastęp tych miłośników trzęsawiska społecznego, w którem tonęło się po uszy, a jeszcze ciągle pod nogami grunt się obsuwał. Sam znałem takiego (niejaki Juliusz Brzozowski z Kaliskiego), który spieniężywszy ojcowiznę, w ciągu tylko jednej zimy wszystko co do grosza zmarnował. Przewodniczył zwykle na podobnych balikach (szpicbalami je zwano) szacowny mąż Stanu Ignacy Turkułł, Minister Sekretarz do Spraw Królestwa Polskiego, we własnej swej osobie. Tego, istotnie wszędzie było pełno - cudownym jakimś sposobem pomnażał się, jak niegdyś słynny Pinetti; można powiedzieć: że jednocześnie wszędzie się znajdował - bo i pod Trzema Murzynami i na Srebrnej Sali, pilnując bacznie, żeby nawet lud prosty rozpustą swoją zarazić. Im kto bezczelniej na głowie sobie stawał tem był mu pożądańszym, bo nawet od serca milým - takiego karmił, poił, wynadgradzał, za przykład drugim stawiał. Jego wiceprezesem bywał zwykle Kucz, gorliwie przy nim naonczas wiszący. W równej mierze poniewierali się obok tego zapoznanego dziś mędrca: Kenig, Lesznowski, Lewestam, Niemojewski, Patie, Wolski i Chojecki[2]. Z Bogiń owego Pandamonium, odznaczały się szczególnie baletniczki: Obuchowska, Bobrowska, Jagielska, najdrapieżniejsze w świecie harpie, które do koszuli młodzież obdzierały, a potem nierzadko ze schodów zrzucały, jak się to właśnie z Niemojewskim stało, który nawet z przeprawy podobnej ze złamaną nogą wyszedł. Nie trzeba jednak myśleć, żeby owych balików (przyjacielskich, czy towarzyskich - bo i tak i tak się one nazywały) same tylko jawnogrzesznice bywały ozdobą. O! nie. Najwykwintniejsze panie, zdarzało się, prosto z balów u Paskiewicza (na Zamku Królewskim!) przyjeżdżały same, dla niepoznaki w domina przebrane. Jednej z nich nawet (Michalinie Rzyszczewskiej) razu jednego spróbowano wesoło maskę zedrzeć z twarzy. Powstała z tego zwada, aż i bijatyka, którą dopiero policya powagą swoją zagodzić była zmuszona. Jużto panie ówczesne, przyznać to trzeba, równie kieliszka się nie bały, jak i złych języków. Konno latały lub z kozła powożąc, diabłami sadziły, papierosami się zaciągały, i żadnych ~~ch~~ narodowych nie miały przesądów. Nazywano je Lwicami[3], te

---

[1] Swoją drogą, byle jarmark, jak w Łowiczu, Łęczny, Jędrzejowie, to znowu Warszawa tłumnie zjeżdżała utarzać się w prowincyonalnem błocie - a tak, nie było to nigdy bez wzajemnej wymiany.

[2] Już prawie po zupełnem ustaniu tego szału w Warszawie, długo jeszcze, u słynnego Salwiana Jakubowskiego, (w jego własnym domu na ulicy Niecałej), podobna ciągnęła się uciecha. Przynajmniej, że już nie była publiczna. Za to trudno sobie zrobić pojęcie rozpusty, która tam panowała. Pomysłów do tych orgii dostarczał Lewestam, i sam też na nich pracowicie zwykle przewodniczył.

[3] Wyszydził je w znanej komedyi Stanisław Bogusławski, za mało jednak znał najcelniejsze pomiędzy niemi okazy, które wyłącznie tylko w śmietance towarzystwa studyować było można. Taka np. Czosnowska - istny pierwowzór Balzakowskiej Torpilli. Tu także miejsce wspomnieć: że, niby na przekór owemu upadkowi w górze, z kałuży społecznej wyrastały tymczasem kobiety z nieposzlakowanie przyzwoitym tonem, wykształcone, dziwnie powabne, choć nawet nie zawsze piękne. Miała osobliwszy talent wychowywać takie niejaka Manassowa, publiczna ciocia, i te zwykle bardzo drogo sprzedawała. Ostatecznie, wszystkie one porobiły świetne partye, i będąc niegdyś poprostu Józiami i Fruziami, dziś nazywają się sobie: hrabina Kolowrat. Wicehrabina Le Calonne (żona właściciela „Revue Contemporaine" - a jak powiadają główna tego pisma współpracownicka i Redaktorka) wreszcie Pani Feydeau (żona sławnego Romansopisarza.).

zaś, ma się rozumieć, Lwów swoich miały. Pomiędzy takiemi, w wyższej sferze, stanowczo się odznaczał Edmund Chojecki, salonowy dowcipniś, kieszonkowy poeta, znakomity pod każdym względem kuglarz, jeden z najwcześniejszych na naszej ziemi blagierów. Niżej zaś nieco, berło trzymał Aleksander Rożniecki (syn znanego jenerała), oraz niejaki Łagiewnicki, dwóch najzabawniejszych w świecie współzawodników, goniących o lepsze: który z nich jutrzejszą modą prędzej się ubierze. Jeden był zwolennikiem Majewskiego, a drugi Nowakowskiego (dwóch niepożytej chwały krawców), a oba mieli liczną zgraję naśladowników. Rożniecki, powiadano, twarz sobie cielęciną na noc okładał, w rękawiczkach sypiał, bieliznę tylko w Paryżu praną nosił, i, a ten i tamten mieli zawsze od rana tak ufryzowane głowy, że doprawdy trudno już dziś orzec: który z nich wyglądał mądrzejszy? Ale oto dość już może o tej całej mądrości, o której dziś jeszcze wspominając, człowiek głupieje.

Jak powiedziałem, w czasach owych, na prawnika kierować mi się kazano, a ja posłuszny temu byłem, ale na podobieństwo wilka, któregoby w pług wprzężono. Już to i życie, przyznać trzeba, na tych naszych Kursach nie bardzo było powabne. Z jednej strony, jakbądź sama już na nie uczęszczała młodzież skończona (bo tylko patent wejście tam dawał), niemniej obchodzono się z nami całkiem po szkolnemu; tak dalece chodziło o to Rządowi: aby nam w głowach nawet nie zaświtało, żeśmy jakąś Akademią. Więc, też same co i w szkołach mundury, i tenże rygor w ich noszeniu, goleniu wszelkiego zarostu, strzyżeniu głowy, kłanianiu się wojskowym, a nawet wydawaniu lekcyi, na które też, pod kontrolą codziennego czytania listy, pilnie uczęszczać należało. W razie zaś uchybienia któremu z tych przepisów, z największą przyjemnością nas wydalano, znajdując (zwłaszcza w początkach): że tych prawników będzie trochę zadużo. Na rozpustę tylko uprzejmie patrzano przez szpary 1.). Z drugiej znów strony, nawiązany już na Kursach Dodatkowych separatyzm, tu jeszcze mocniej się uwydatnił. Nie mówiło się tu już ani ty, ani nawet kolego, ale tylko pan 2.), a byli tacy, co, zanim przy tobie usiedli, dochodzili naprzód: czyim jesteś synem 3). Z tego powodu, żyliśmy początkowo

~~To co tu mówię, nie ma w niczem uwłaczać stosunkowi naszemu z proffesorami. Ci, przeciwnie, z niewielkim wyjątkiem, byli to ludzie zacni, światli, po większej części wyżsi urzędnicy sądowi, chcą=~~

1.) Wowym czasie założono też Gimnazyum Realne. Tego uczniowie osobliwszem odznaczali się rozpasaniem. Na paradysu wiecznie burdy robili; po najplugawszych miejscach schadzki sobie urządzali; nocą, bandami po mieście się włóczyli, włażąc w drogę przechodniom, zwłaszcza z kobietami idącym. Ostatecznie, jeden z ich przewódców (niejaki Jan Drewnowski), odznaczony następnie w powstaniu 63 r. tem mianowicie: że cały oddział którym dowodził w ręce Moskali wydał), pod Karczochem przy Bilardzie pobił się z Czerkiesami; co gdy po mieście gruchnęło, policya rada nie rada, musiała w tem uznać niejakie cechy przestępstwa politycznego, i jego sprawców nieco poskromić – wszakże o Cytadelę się to nie oparło.

2.) To mi przypomina mimochodem nieopłacone słowa radości, wygłoszone w tym przedmiocie przez Aleksandra Tyszyńskiego. Cudaczny ten pisarz, którego nieustające nigdy powodzenie oraz powaga wiekuista dla mnie były i są zagadką, tak oto z partesa powiada (w Bibliotece Warsz. z Maja r. 1874 na str. 257): „Kraj nasz... którego losem(!) była we wszystkiem oryginalność, – oryginalność w formacie, oryginalność w życiu, oryginalność w śmierci, oryginalność po śmierci(!), i w tym grammatycznym czyli lingwistycznym szczególe o którym mówimy, odrębność wyraził; odrzucił on wprawdzie w ostatnich czasach Waszmość i Waćpan, lecz w miejscu oni lub wy, ukazało się nagle we wszystkich ustach krajowych(!) krótkie, znaczące pan, i używane dziś jest powszechnie we wszystkich stronach kraju, i przez wszystkie klassy, w zwrocie słowa do wyższych, do równych i nawet do niższych." – Genialne to spostrzeżenie, nadzwyczajnie w pismach wszystkich podnoszono. [3] wkrótce powstał

3.) ~~Baczny na te symptomata rząd ojcowski, usłużnie wkrótce zaprowadził~~ Instytut Szlachecki, którego uczniowie, od reszty studentów mundurami się już nawet różnili. Tu już, od najmniejszych smarkaczy, pańską butę wpajano. Tak np. nie godziło się tym paniczom w Teatrze w krzesłach nawet siedzieć, ale najmowali loże. Również nie jeździli nigdy dorożkami, tylko najętą karetą.

cy i umiejący utrzymać nas na wysokości udzielanej nam nauki. Ale wspomniałem też o wyjątkach. Do tych zaliczam niejakiego Miszkieła, lichego Litwina, udającego że nie umie po polsku (wykładał Swód Zakonów), jakbądź później, w czasie powstania 63 r., słyszałem go mówiącego tak przeczystą polszczyzną, że nawet akcentu litewskiego nie zdradzał. Ten był, mogę powiedzieć usilnym naszym ciemięzcą w nauce, o której sam bardzo chaotyczne miał pojęcie (podobno nawet Uniwersytetu nie skończył); po za obrębem zaś wykładów, żarliwym nadzorcą naszych pojęć politycznych, a nierzadko i denuncyantem. Drugim takim był Pawliszew (wykładał Statystykę Rossyjską). Ten znów żołnierskiej subordynacyi nader pilnie przestrzegał. Woźni zmuszeni byli nazywać go JWielmożnym Rzeczywistym Radcą Stanu. Rad byłby tego i od nas wymagał, nie mogąc zaś tego dokazać, uzyskał przynajmniej, że do niego nie wolno było mówić inaczej, jak stojący (mieliśmy bowiem tę jedyną prerogatywę: że na zapytania proffesorów odpowiadało się z siedzenia). Po=

podzieleni na kółka, po większej części prowincyanie – to jest jednej szkoły koledzy. Ale powoli, swój swego znajdował, i kółka się te zwiększały. Że zaś było pomiędzy nami dość zbytkujących światowców, z porządnie pustemi głowy – wyrodziło to w przeciwieństwie, rodzaj niby stowarzyszenia, któremu myślę nie obcym był Majorkiewicz. Ci, przesadzając pogardę zewnętrznej formy, chodzili w ladajakim ubraniu, czasem z dziurami na łokciach i wyrwanemi pachami, ile możności w wykoślawionych butach, włosy też mając w schody byle jak pocięte. Za to grosz każdy wspólnie składali, i za to kupowali książki, prenumerowali pisma, i cobądź przeczytali, natychmiast streścić to i ocenić byli obowiązani. Głównem ich bowiem zadaniem było wciągnięcie siebie i drugich w poważniejsze myślenie, w przeciwstawieniu znowu nazbyt rozgoszczonemu wtedy w literaturze belletryzmowi. Jakoż, już i Trentowski, Cieszkowski, Wiszniewski, Kremer, Libelt, zjawiać się wtedy poczynali. Jednocześnie też Hegel wszystkim głowy zawracał. Tego znów osobliwszemi byli zwolennikami: Edward Dembowski [1], Bachmann [2], Walenty Zakrzewski [3], nawet w początkach i Ziemięcka. W belletrystyce zaś, która mię nierównie bliżej obchodziła, świeciło także gwiazd niemało; cóż kiedy i tam swawola w najlepsze hulała. Na szczęście, założona świeżo Biblioteka Warszawska, stosownym wyborem i zdrową krytyką, wybryki te poskramiać poczęła; inaczej niewiadomo do czego byłoby doszło, tak dalece zdziczała jakaś maniera, rozczochrane formy, niesforność stylu, słowem pogarda wszystkiego, co mogło być prawidłem lub nauką, na bezdroża wiodły najzdolniejszych [4]. Trzymało się to ściśle z ich zachowaniem się towarzyskiem – tego zaś straż oraz kierownictwo było wyłączną chwałą nieodżałowanej pamięci (jak dziś mówią) Wilkońskiego. Uliczny ten wujaszek całego świata, uprzejmie do gościnnego swego łona garnął wszystkich, życzących sobie bezpowrotnej zguby, słusznie pierwszeństwo dając takim, którzy cośkolwiek jeszcze do stracenia mieli (mia=

1.) Następnie główny filar „Przeglądu Naukowego", który podobno własnym kosztem założył i utrzymywał. Zginął on w sposób dziwnie zagadkowy, w czasie pamiętnego pochodu na Podgórzu Krakowskiem w r. 1846.

2.) Brat słynnej Ćwierciakiewiczowej – tyleż wykwintny salonowiec, ile tamta była zawsze tuzinkową przekupką. Człowiek zdolny, ale niesłychany rozpustnik. Skończył na tem, że się powiesił w lasku Bielańskim, niewiadomo dotąd czemu.

3) Także głowa niepospolita, ale wierutny próżniak i warchoł. Uwagę powszechną zwróciły jego tak zwane Ćwiczenia grammatyczne (właściwie filozoficzne) w Dwornie Wilkońskiego. W czas jakiś potem odebrał sobie życie w Paryżu. –

4.) Powszechnie nie zawsze zarzucano (i nawet słusznie bardzo): przesadę w kierunku estetycznym, wyszukanie formy, zbyteczną surowość tonu, posuwaną aż do zaciemnienia myśli, zwięzłość stylową, wysiloną wiersza ogładę, i wreszcie nie dość usprawiedliwione archaizmy językowe. Ale kto jak ja, ze zgrozą patrzeć był zmuszony na to, co sobie pozwalali tacy Koryfeje ówcześni, jak: Żmorski, Niewiarowski, Wolski, Filleborn, Dziekoński, nawet Tyszyński (bo i on się wtedy w powieść bawił i poezyę), a następnie jeszcze Żeligowski (Sowa), Apollo Korzeniowski i Karol Pieńkowski, dla których był przesądem rozsądek wszelki, a za to szukanemi zaletami: dziwactwo stylu, szalona wiersza dowolność, Częstochowskie rymy i pogarda średniówki; ten choć w części usprawiedliwionym być powinien, że od owych krzyczących nadużyć nieco za śmiało odskoczył. Niewątpliwie, przy większym talencie, byłbym umiał w porę się powstrzymać, alem go nigdy nie miał w tej mierze co tamci, a za to chęci moje o wiele były lepsze. Zresztą, niechbym choć zostawił po sobie wzór: czego, przy lepszym od mojego smaku, unikać należy; to już i tak, mniemam, zadanie moje tymczasem spełnione. –

między proffesorami, był jeszcze jeden Moskal, nazwiskiem Aleksiejew (wykładał historyę Literatury Ros.); ale ten był z kośćmi poczciwy. Polegając na tem, żeśmy już w Gimnazyach dostateczną z tego przedmiotu zdobyć musieli wiedzę, godzinami całemi czytał nam tylko Puszkina, Żukowskiego, Lermontowa, Gogola, a także swoje własne utwory (był bowiem poetą), - na egzaminach zaś, prawie sam nas wyręczał, pisząc czemprędzej stopnie dobre, - choć nie zawsze było za co. -

nowicie we względzie pieniędzy). Nazywała się ta Rzeczpospolita Muszkieterya. Istotnie, równość tam panowała rozczulająca - w obec flaszki z wódką. Bywało tak: że do serdecznego wujaszka o każdej godzinie nocy przyjść było można i zanocować na podłodze, choćby nawet w jego nieobecności - bo on poczciwiec najczęściej z rankiem dopiero wracał - a zawsze się zastało bochenek chleba, serdelki i gorzałkę - do użytku szklankami 1.). Wpisowe do tej archikonfraternii nie kosztowało zbyt wiele. (przynajmniej tych co się rozboju nie bali.). Byłeś zapuścił długie kudły, i koniecznie był oberwańcem i brudasem - już gotowy z ciebie wielkich nadziei artysta, czy poeta, czy w ogóle wielki człowiek, a respective muszkieter. Zresztą trafiałeś tam już na swoich mistrzów (nie licząc Wujaszka), jak Wolskiego, Ćwierciakiewiczów 2.), Zmorskiego et consortes. W tej pożytecznej szkole, poprzepadało zdolności co nie miara - dość wyszczególnić niektórych. Taki: Bohdan Dziekoński, Seweryn Filleborn, Tadeusz Brodowski, Gierdziejewski 3.), Feodozyusz Krzywicki. Pierwsi czterej dosłownie na śmierć się zapili, ostatni wyniósł z tego życia zabawnego zarody piersiowej choroby, która go w lat kilka w kwiecie życia zabrała. Był to szkolny mój kolega. Talent miał do poezyi nie mały, ale czasu mu do rozwinięcia się zabrakło. Później jeszcze do niego powrócę. -

Takie to tedy były smutnej owej pory uciechy a rozrywki błogie. Ślad wrażeń tej Saturnalii odbił się w niejednym utworze Żmichowskiej, bo ona biedaczka miała także brata, który po uszy w tej rozpuście siedział, - że zaś osobliwie był jej ukochany, przyjechała więc aż z Paryża żeby go ratować, ale już było za późno. W czas jakiś potem życiem to przypłacił.

(~~Dalszy ciąg na str. 25~~).

1.) W lat kilka potem wyjeżdżał z Kraju, ścigany zarzutem płatnego przez rząd ajenta. Powiadają, że mu to nawet życie skróciło. Niech go Bóg sądzi. Narobił niemało złego - ale może był tylko, jak wielu drugich, bezwiednem narzędziem; bo już to nierząd i lekkomyślność tego człowieka były w swoim rodzaju z niczem niezrównane.

2.) Tych było coś pięciu. Jeden z nich, w czasie wielkiej cholery w r. 1852 założył się o Dziesięć złotych: że się naje ogórków, i nic mu się nie stanie. W grze tej i dziesięć złotych przegrał i życie. Daje to miarę wartości człowieka. Zdarzenie to dostarczyło mi przedmiotu do powiastki, drukowanej w Kalendarzu Ungra z. r. 1862. U tych Ćwierciakiewiczów miewały miejsce fantastyczne piątkowe przyjęcia, rozpoczynające się o samej północy. Odbywały się tam rzeczy nie do opisania. A jednak uczestniczył w nich i ojciec owej miłej dziatwy, dokazując na równi z synami. Działo się zaś to, przyznać trzeba, wpośród godnej podobnych zaprzątnień umysłu areny... gdyż w zabudowaniach więzienia przy Arsenale, którego stary Ćwierciakiewicz był nadzorcą. Było tam zawsze na zawołanie dwóch urzędowych trefnisiów. Z tych jeden Minasowicz (nazywany przez tych warchołów Minasem, choć mógł być niemal ich dziadem), starszy brat Józefa Dyonizego przekładacy Szyllera, sam utalentowany niegdyś portrecista, zdziecinniały jakiś idyota i zagadkowy sknera czy nędzarz, który tam przychodził opychać się chlebem, nieraz milczkiem partyki sobie jeszcze do kieszeni biorąc - ten pozwalał drwić z siebie ile wlazło, i nigdy się nie gniewał. Drugim był niejaki Dutkiewicz, syn słynnego prawnika Walentego - w tego znów wmówili geniusz do śpiewu i do sztuki aktorskiej, a on zgłupiał na tym punkcie, i jak się zdaje nigdy już do rozumu nie wrócił. -

3.) Genialny kompozytor w rodzaju Kaulbacha. Biedaczysko, w Rzymie później, zakochawszy się w jakiejś pannie i chcąc się stać jej godnym, nagle najzupełniej pić przestał. Ten godny podziwu wysiłek woli, gwałtownie rozwinął w nim gorączkę trawiącą. Nic nie pomogły zabiegi lekarzy, radzących stopniowe odzwyczajanie organizmu - nieszczęśliwy nabrał dziwnego wstrętu do poprzedniego życia, i kto wie, czy nawet nie był rad swej śmierci. -

Jako przyczynek do dziejów upadku moralności w owej epoce, wspomnieć tu jeszcze muszę o nadmiernej mnogości zdarzających się wtedy oszustw i kradzieży. I, jak zwykle w takich razach bywa, nie z nędzy je popełniano, - ale dla dogodzenia wyuzdanym zbytkom. Ile sobie przypominam, początek w tym względzie wyszedł od Lewestama. Ten, zostawszy wówczas Inspektorem Szkół, nie tylko łapówkami uczniów i ich Rodziców nader obcesowo obdzierać począł, ale jeszcze, kiedy zaszły wakacye, wszystkie potrzeby Kancelaryjne, Bibliotekę, i nawet sprzęty szkolne (aż do ławek) Żydom posprzedawał, za co wydalony ze służby, wyrokiem sądu Kryminalnego na Sybir skazany, następnie skutkiem ubocznych zasług ułaskawiony, czas jakiś applikował niby w Zarządzie Kommunikacyi lądowych i wodnych; ale właściwie, pokątne załatwiając zlecenia, z godzinowych funduszów płatny, broił dalej bezkarnie, i nie było tak brudnej sprawki, w którejby ręki po łokieć nie unurzał. Człowiek ten, pod każdym względem szkodliwy, do którego na nieszczęście nieraz mi jeszcze wrócić wypadnie - przeważnie zaś bezwstydny (nawet w tak zwanych literackich pracach swoich) przemysłowiec i rzezimieszek, w chwili obecnej używa pewnego rodzaju rehabilitacyi, dzięki nader groźnemu stanowisku, jakie w krytyce zagarnąć potrafił. Dziś mu się kłaniają ludzie najuczciwsi, twierdząc: że należy w nim rozróżniać niegodziwca od człowieka wielkich zdolności. Tych istotnie odmówić mu nie można - idzie tu jednak o cele, nie o środki. Ale cóż? - o całym tym kierunku przekonań dzisiejszych, nie to jedno byłoby do powiedzenia....

Wracam do przerwanego przedmiotu. Złodziejski przemysł, śladem tego arcymistrza, szerzył się sobie dalej coraz groźniej. W czas jakiś, wykryto całą szajkę kieszonkowych rzezimieszków, oraz podrabiaczy kuponów. Nie mało w niej uczestniczyło studentów (osobliwie z Gimnazyum Realnego) - nawet z Kursów prawnych niejaki Żołądkiewicz. Rosło to jak lawina. Niebawem zjawili się kunsztowniejsi przemysłowcy. Była to już wykwintna młodzież, głównie z przybocznej Kancellaryi Paskiewicza. Ci znowu, przebierając się to za policyę, to nawet za Jenerałów, postrachem prześladowań politycznych albo obietnicami uwalniania z Cytadeli 1.), długi czas wyłudzali pokątnie od potrwożonych mieszkańców znaczne nawet summy, aż póki to na wierzch nie wyszło następnym sposobem. Jeden z pomiędzy nich (niejaki Kołakowski), działając na własną rękę, przebrany za Kommisarza, w towarzystwie niby żandarmów, wpadł nocą do Klasztoru Bernardynów, zarządzając natychmiastową rewizyę. W chwili jednak, kiedy jego towarzysze po celach plądrowali, on wziął na bok Gwardyana, i oświadczył mu: że wprawdzie ma rozkaz wziąść go zaraz do Cytadelli, ale że jeśliby dostał od niego 300 Rubli, rzecz się może da zagodzić. - Gwardyan, czy nie miał pieniędzy, czy też co pewniejsza nie w ciemię był bity, prosił go o cierpliwość do jutra - tymczasem zaś dał wiedzieć policyi. W ten sposób ptaszków na uczynku przychwytano, aż i po tej nici reszta kłębka się znalazła. W tym czasie, zaszły także słynne w Banku Polskim kradzieże, za które niebawem odpokutowali Henryk Łubieński i Józef Lubowidzki 2.). Zdarzały się też i bardzo bezczelne oszustwa, jak np. młodego Badeniego nazwanego Świętym Piotrem, a to z tej okoliczności: że, napatrzywszy sobie w Starem Mieście jakąś hysteryczną dewotkę, ukazywał się jej przebrany za owego Apostoła, wyłudzając od niej grube datki na Świętopietrze i

1.) W owym czasie miano to za rzecz pewną: że z woli Paszkiewicza utworzona była przez Storożenkę (ze współudziałem zapewne Lajchtego i Grassa) lista zamożniejszych obywateli, których synowie z tego powodu osobliwie mieni byli na oku. W razie najbłahszego pozoru, natychmiast brano takich do Cytadelli, zkąd wypuszczano tylko za grubą opłatą. Że coś podobnego w istocie chyba istniało, za przykład przytoczyć mogę znaną mi dobrze rodzinę Grodzickich. Z tych wzięto naprzód Aurelego, którego ojciec wykupił dawszy 20,000 zł. Ale kiedy w czas jakiś potem, uwięziwszy drugiego (Ewarysta), domagano się za niego bodaj czy nie dwa razy większej ceny, strwożony ojciec, mając w domu jeszcze trzeciego syna, wolał już jednego poświęcić, byle uniknąć grożącej mu ruiny. Z tych Grodzickich, Aureli i Felicyan pożenili się później z córkami Pułkownika Fredry brata mojej macochy. Ewaryst zaś wywieziony na Syberyę, wrócił dopiero po Kampanii Krymskiej.

2.) W owym czasie krążyła po mieście karykatura, przedstawiająca stojący przed gmachem bankowym zaprzężony do drogi wielki wóz towarowy. Do niego urzędnicy bankowi znosili wory z pieniędzmi - a na koźle siedział sam Fuhrmann (ówczesny prezes Banku), ma się rozumieć odwrócony plecami do tej roboty, i gotów ruszyć w drogę jak tylko będzie już pora. -

Kościoły. Ten był synem Ignacego, Dyrektora Komissyi Spraw Duch. i Oświecenia, również słynnego w swoim czasie łapownika. Z tego powodu, po wykryciu się sprawek jego syna, ktoś napisał na domu Badenich (na placu Krasińskich, obecnie Epstejna, okazała kamienica z kolumnadą): - O! dla Boga! co się dzieje! Syn i ojciec dwaj złodzieje! - Ów stary Badeni, później już znacznie, bo w jakie lat dziesięć, miał wydarzenie, dowodzące, że jednak, prędzej czy później, trafić musi swój na swego. Na nabożeństwie za Paskiewicza, siedział on w ławce tuż obok Czapskiej, córki Henryka Rzewuskiego, podobnież porządnej ze wszech miar osoby. Modląc się nader żarliwie, gdyż był równie pobożnego [1.)] jak wiernopoddańczego ducha, parę razy uraczył sobie nos ze złotej bardzo ozdobnej tabakierki, którą następnie włożył do bocznej kieszeni. Ale za powrotem do domu, kiedy znów po nią sięgnął, na jej miejscu znalazł już tylko rozpiętą bransoletkę z miniaturą pułkownika Protasowa, naonczas bardzo zażyłego pani Czapskiej przyjaciela. Wprost się tedy do tej damy udawszy, wręcz zaproponował jej wymianę owych przedmiotów, co też bez wszelkich korowodów na poczekaniu nastąpiło. Rzecz ta jednak niedługo snadź pozostała tajemnicą. Ni ztąd ni z owąd bowiem, pomiędzy ogłoszeniami Kroniki Wiadomości Kraj. i Zagr., ktoś złośliwy zamieścił obwieszczenie: - jako zgubioną została bransoletka damska z cyfrą (odpowiednią) i koroną hrabiowską, mieszcząca w sobie miniaturę młodego wojskowego. Łaskawy znalazca raczy ją odnieść do hrabiny Czapskiej (tam i tam), albo do pułkownika Protasowa (w hotelu czy nawet w koszarach - już nie pamiętam.). Narobiło to straszliwego rumoru, skutkiem którego pismo tylko co nie zostało zamknięte. - Tak to, błogie tradycye owych czasów pamiętnych, długo się jeszcze sporadycznie przeciągały. Działo się to nieraz nawet z krzywdą ludzi całkiem niewinnych, jak np. Fryderyka Skarbka, o którym krążyła powszechna pewność: jakoby interessantom swoim (był wtedy Dyrektorem Kom. Sprawiedliwości) grubo się opłacać kazał. Tymczasem robił to bez jego wiedzy syn jego Henryk, dając do zrozumienia, że niby gra w tym razie rolę pośrednika. Porządnie się też tym sposobem obławiał.)

[1.)] Pisał też i tłumaczył nader budujące rzeczy, i te wydawszy, rozsyłał niby w podarunku przyjaciołom i znajomym, ale następnie nic się nie wstydząc, ściągał za nie grubą należność. Bawił się nawet w poezyę.-

II

Mówiłem to już poprzednio: że narzuconą mi w owym czasie naukę coraz opieszalej w głowę brałem. Po roku pierwszym wcale jeszcze dobrze zdałem egzamin, ale z drugiego kursu już nie wybrnąłem, i zmuszony byłem pokutować jeszcze rok następny. Przyczyniło się do tego zalecenie mię jako dziwnie zdolnego, którego też z tego powodu ostrzej od drugich pilnować należało. Tem zniechęcony, do reszty się opuściłem. Zbałamuciła mię też ostatecznie literatura, nęcąca ideałami, których coraz mocniej w koło mnie brakło. Począłem się wałęsać w dzielnicy Starego Miasta i Ponadwiślu, wchodząc w stosunki z ludowym żywiołem, z czego w następstwie i wyniosłem dość biegłą znajomość życia tej biedniejszej warstwy społecznej, w której, mimo wszelkich wpływów rozkładowych, najwięcej podobno przechowało się ~~(tedy)~~ dotąd pierwotnego zdrowia duszy. Owocem tych cierpliwych studyów, był wspomniany już wyżej „Pan z Faciatki." Jednocześnie też, pod wrażeniem bolesnych owej epoki wypadków, pisać począłem nie mało burzliwych poezyi. Próbowałem też skleić kilka dramatów. Z tych Dido i Jugurta miały jeszcze nastrój klassyczny, sztucznie spokojny, a za to mocno deklamacyjny, – Lech zaś Krak i Wanda byłto rodzaj trylogii lirycznej, przejętej na wskroś rękopismem Królodworskim. Ta ostatnia robota (trochę w rodzaju libretta do opery, bo znajdowały się tam i recitatiwa i chóry) jedna tylko w całości była skończona – reszta istniała tylko w mniej więcej znacznych ułamkach. Chodził mi też po głowie dramat Gertruda (Komorowska), mniemałem bowiem, że z przedmiotu tego, przy zachowaniu wierności historycznej, dałoby się wysnuć coś nierównie potężniejszego od płaczliwej Maryi (takie przynajmniej miałem wtedy o niej pojęcie.). Ale, ma się rozumieć, skończyło się na bezsilnej zachciance. Z tego wszystkiego jednak łatwo się przekonać: że Kodeks Napoleona był wtedy rzeczą najmniej podobno zaprzątającą mi głowę. W tym czasie także wrócił był z Syberyi Kochany mój Karol Baliński, i to mi osłodziło chwil przykrych nie mało. Niebawem, we dwóch z Cieplińskim, poczęli wydawać Snopek Nadwiślański. Ofiarowałem do niego kilka poezyi – lecz te, dla braku wartości, odrzucono; a jednak wybrałem jak mi się zdawało najlepsze – cóż tedy sądzić o reszcie? Natomiast powierzono mi korrektę Snopka, w której nierównie więcej okazałem zdolności.

W tych okolicznościach, zbliżały się egzamina. Poczęliśmy się w kilku razem do nich gotować, i rzecz tą razą byłaby się może w sposób korzystny dla mnie załatwiła (bom się istotnie bardzo szczerze zabrał znów do pracy); gdyby nie to, żeśmy już od niejakiego czasu wplątani byli w pewne Bractwo.... Rozpoczęły się aresztowania..... Pamiętam, po jednej takiej nocy, kiedyśmy się na Kursach zeszli – patrzę – Leon Kapliński czerwone i podpuchłe ma oczy, i nawet gadać z nami nie chce, powiadają mi: – całą noc ręce tylko łamał z rozpaczy i zanosił się od płaczu.[1.)]

1.) W następstwie rozwinął się z niego dzielny człowiek, który nawet w dwa lata potem bił się w Poznańskiem, i za to odsiadywał więzienie w Berlinie – ale w owym czasie (1844) był to tylko bardzo zabawny dzieciak, utalentowany karykaturysta i dowcipniś do upękania. –

Mówię do kolegów: - bójcie się Boga - toż tego smarkacza trzebaby co tchu w kąt gdzie schować - bo niech mu tylko rózgę pokażą, powie wszystko co wie, a nawet czego nie wie. - Jakoż, rada w radę, sfabrykowaliśmy mu paszport, zebrali co można było pieniędzy, i pod pewną opieką wypchnęli za granicę. -

Ale i około nas wszystkich coraz kusej być zaczęło. Co noc też, albo który drapnął, albo został wzięty. Co do mnie, chodziłem z duszą na ramieniu, coraz gdzieindziej nocując, zwlekając jednak ucieczkę, dla powodów, które zaraz opowiem. W tych okolicznościach, trafiłem raz na uprzejmego kolegę (jedynego co prawda), który mię, z obawy odpowiedzialności, za drzwi od siebie wyprawił. Noc tę, pamiętam, przebłąkałem po mieście i przesiedziałem na Wisłą. Szło mi tymczasem o ocalenie kogoś, nad którym miałem rodzaj moralnej opieki. Był to Jędrzej Fredro, siostrzeniec mojej macochy, student z gimnazyum, chłopak zdolny, gorący, bardzo mi ukochany. Tego koniecznie wyprawić należało.[1.)] Trudności były nie małe. Mieszkał u proffessora, pod bacznym nadzorem, i już się czegoś domyślać zaczynano. Koniec końcem, i to się jednak szczęśliwie udało.

Zaczem, nie mając już nic więcej do roboty, sam wziąłem nogi za pas, i tyle mię widziano.[2.)] Nie oparłem się aż w Prusach Zachodnich. Tam, tułając się tu i owdzie, pilnie naglądałem: jak też w Warszawie rzeczy się obrócą. Zależało to wszystko od przytomności umysłu tych, który już nie uniknęli swego losu, oraz umiejętności tłumaczenia się przy śledztwie, a głównie przemilczenia tego, o co nie pytano. Ale jakkądźby się to było pokierowało, w czas nie długi, wolałem już najcięższą dolę w Kraju, a nawet wywiezienie z niego z nadzieją powrotu, niż swobodę zdala gdzieś od rodzinnej ziemi.

Jakoż, dręczony tęsknotą, wróciłem wreszcie chyłkiem, zdając się na wolę Opatrzności. Na szczęście, niebezpieczeństwo już było zażegnane. Uniknąwszy przecież jednego, wpadłem w drugie - z tego zaś, własnym już przemysłem wyplątywać się musiałem. Podano mię bowiem za zniklego - co znów w innym kierunku obudziło podejrzenia. Ztąd długie śledztwo, zrazu osobiście prowadzone przez Grassa i Abramowicza, następnie w Cytadelli gdziem z kolei przeszedł przez ręce Blumenfelda, Lejchtego, aż wreszcie samego Storożenki. Ten ostatecznie nazwał mię „bydlęciem" i kazał mi „iść do diabła", co też z tajną radością co prędzej uskuteczniłem, wiedząc, że to było hasło po-

---

1.) W lat kilka potem umarł na emigracyi w Interlaken Szwajcarskiem, w skutek wybuchu palnych materyi, w fabryce zapałek, gdzie się był pomieścił. -

2.) Wtedy też zmuszony byłem zniszczyć wszystkie moje rękopisma - niektóre zaś cenniejsze papiery spróbowałem przechować w znanej mnie jednemu (jak mniemałem) skrytce w pewnym Kościele - tych jednak, za powrotem takie już nie znalazłem. -

żądanej swobody. To zaś, że mię nazwał bydlęciem do dziś dnia dziwnie mi jest pochlebne; daje bowiem miarę, do jakiego stopnia z powodzeniem a konsekwencyą nie małą, udawać umiałem głupiego w obec tylu tych panów, z których każdy dokładnie słyszał jak trawa rośnie. Tłomaczenie moje było z pozoru bardzo naiwne: poprostu uciekłem ze strachu przed egzaminami, i to broń Boże nie za żadną granicę, ale do jednego obywatela w płockie, z którym się już poprzednio w tym względzie umówiłem. Do tego jednak pilnie podorabiać należało rozliczne jak najprawdopodobniejsze szczegóły, i od tych ani się już ruszyć krokiem.... Tu, jak mniemam, rozwinąłem nieposledni dar inwencyi, a zwłaszcza loiki, który oby mi był zawsze w równej mierze w utworach moich literackich służył! Ale też okoliczności były wyjątkowe – o skórę tu szło, nie o sławę – a w takich, zając nawet lisem się stawa. Więc jakbądź różnemi czasy i coraz bieglejszym badaczom na próbę mię dawano, nigdy anim się zaciął, tak łgałem gładko – i to mię jedno zbawiło. W tym względzie, nie zapomnę nigdy ostatniego badania. Wezwano mię na jakąś godzinę może przed zebraniem się Komisyi. Siedzę jak na cenzurowanym, wtem, niby przypadkiem, zamówiwszy się o coś, nadchodzi Lejchte. Pyta: kto jestem i po co? i dowiedziawszy się od Blumenfelda, nuż ze mną w przyjazną pogawędkę. Znał moich krewnych(!) z niektóremi nawet służył w wojsku Polskiem, za księcia Konstantego. Dobre to były czasy! – ale potem ta nieszczęsna rewolucja, a po niej emigracya. Emigranci są istotnie współczucia i politowania godni, a także i młodzież dzisiejsza w Kraju. Niezdrowe książki czyta – ale i o to mniejsza; Rząd znowu nie tak srogi – byle zaufanie do niego miano. I te tam niby spiski, to także dzieciństwo – nikt rozsądny nie przywiązuje do tego wielkiej wagi. Co do mnie, poznał zaraz, że jestem umysłu bystrego, i że mogę gdy zechcę zajść daleko. – Wszystko to przeplatane było gładkiemi wycieczkami: w szczegóły życia koleżeńskiego na Kursach prawnych, w trudności pobytu w Galicyi (zkąd, jak wiadomo, zbiegów odstawiają) albo w poznańskie (które: czy bardzo jest zniemczone? on tego nie wie) – wreszcie w przyjemności pobytu na wsi (która to wieś mianowicie: w jakiej się znajduje okolicy? czy miłe ma sąsiedztwa? i tym podobnie). Miałem tyle zimnej krwi: że podziwiać mogłem cały artyzm owej niby, pogawędki, która w istocie była w swoim rodzaju arcydziełem śledztwa. Sam mówiłem tylko pytany, i to jak mogłem najmniej, ale swobodnie, i, jak w poprzednich zeznaniach, udając głupiego; – sądzę, jednak, że mimo to, on jeden odgadł we mnie franta. Wobec Komissyi bowiem, z serdecznego wprzódy przyjaciela stał się znagła najzapalczywszym wrogiem, drwił z moich odpowiedzi,

przyskakiwał do mnie z pięścią, twierdząc wreszcie: że jakbądź niby gadać nie umiem, onby się podjął nauczyć mię śpiewać.

Koniec końcem, jak powiedziałem, puszczono mię wolno, oddając tylko pod baczny nadzór policyjny, który też trwał coś lat parę. W ciągu tego czasu, ponieważ o służbie rządowej mowy już nawet być nie mogło, zmuszony byłem szukać sobie prywatnego pomieszczenia. Jakoż, zdarzyło się takie, przy urządzaniu Biblioteki Ordynacyi Zamojskiej, i to też bez wahania przyjąłem. Wynagrodzenie tam było szczupłe, ale przynajmniej starczyło na opędzenie pierwszych potrzeb, czego mi wtedy, dzięki mojej opiece, prawie całkiem brakło. Biblioteka zaś, z pewnością najcelniejsza z prywatnych w kraju naszym zbiorów, z chwilą śmierci Rychtera 1.) znajdowała się w najopłakańszym nieładzie. Wypadło poprostu od inwentarza zaczynać. Tym sposobem, wyszło na jaw blisko 34,000 numerów dzieł, nie licząc kilku tysięcy duplikatów, oraz kilkuset rękopismów. Pomiędzy temi ostatniemi, znalazły się rzeczy niesłychanej ceny. Z powodu jednej z takich, miałem sposobność widywać tu Augusta Bielowskiego, wysłanego od hoc, jeśli się nie mylę, kosztem Zakładu Biblioteki Ossolińskich (dla dokładnego zbadania Kodeksu Kroniki Galla, który już poprzednio opisał był Maciejowski). Bielowski człek był poważny, milczący, swoją pracą tylko zajęty - równo z nami przychodził o dziewiątej, siadywał, jak i my, aż do trzeciej. Z dziwnem poszanowaniem spoglądałem na tego potężnego przekładcę Słowa O Pułku Igora, oraz twórcę Pieśni o Henryku Pobożnym. Starałem się oddawać mu tysiące drobnych przysług, ale on na to ani zważał - cóż ja mu tam znaczyłem! Nie spotkałem go już nigdy więcej w życiu, i on się też pewnie nigdy o mojem istnieniu nie dowiedział. Przychodził też tu często Cypryan Walewski, pilnie przeglądając broszury oraz Dzieje Opactwa Czerwińskiego - także Maciejowski i Stronczyński. Ten ostatni, pamiętam razu jednego, zjawił się w towarzystwie jakiegoś Księcia Swiatopełka Mirskiego. Mówiąc nawiasem, najsurowiej zabronione było komubądź z obcych (wyjątek zrobiono tylko dla Bielowskiego) dawać do rąk szacowne rękopisma z miniaturami. Ci panowie jednak potrafili sobie jakoś ująć Kustosza, i ten dał im do przeglądania Żywoty, jeśli się nie mylę, Biskupów Krakowskich. Jestto wspaniały wolumin pergaminowy, illuminowany z rzadkim przepychem. Nad nim tedy strawili kilka godzin, przepatrując, podziwiając, za-

1.) Ignacy Lojola Rychter, bibliotekarz i literat, znany z uporczywej polemiki z Maciejowskim. Wnosząc z nagromadzonych przez niego w Bibliotece materyałów, zabierał się do pisania Dziejów Akademii Zamojskiej - ale opieszały i do najwyższego stopnia nieporządny, sądzę, że ostatecznie sam się w zrobionym przez siebie chaosie obłąkał, i nareszcie dał za wygranę. Wszystkie poprzednie katalogi pozatracał. Natomiast zostały po nim bezładne kupy kartek z notatami bibliograficznemi, z których jednak nigdy się nikt niczego doczytać nie potrafił. -

zdroszcząc. Aliści, w czas jakiś potem, Ordynatowa Konstantowa Zamojska, bawiąca wtedy w Paryżu, odbiera przystaną sobie z Zakładów Lemerciera chromolitograficzną podobiznę tytułowej karty tego rękopismu, przedstawiającą grono Biskupów Krakowskich, królujących w Niebieskiej Chwale. Na domiar złośliwości, wydawca (którym był nie kto inny, tylko ów utrapiony książe Światopełk), sztych ten wytworny bardzo szumnie Ordynatowej przypisał. Narobiło to ogromnej wrzawy. Ordynat Konstanty ostro za to zmył głowę komu należało, i znajdując że słuszność była po jego stronie. Pokazało się bowiem: że Stroncyński na poczekaniu ową miniaturę przekalkował (podobno i wiele innych), do czego nawet pogrubił obrysy, co zepsuło całkiem pierwotną delikatność malowidła.

W Bibliotece tej miałem sposobność i widzieć dużo rzadkich rzeczy, i przeczytać też nie mało, - choć to ostatnie robiło się tylko dopadkami, bo praca była mozolna i pilna, - jednak, z postępem czasu, nabywszy wprawy, można było, po parę godzin dziennie, bez wyrzutu sumienia, na swą korzyść od niej oderwać. Tylko że niebawem, począłem silnie cierpieć na oczy, skutkiem czego zmuszony byłem wyjechać na kąpiele do Buska. Tam odbywszy się w ciągu sześciu tygodni, pozostałe mi jeszcze dwa umyśliłem obrócić na zrobienie wycieczki po Krakowskiem. 1.)

Wybraliśmy się tedy pieszo we dwóch, z kolegą moim szkolnym i przyjacielem Hieronimem Ciemniewskim, i śmiało to powiedzieć mogę: mało w życiu mojem odbyłem pożyteczniejszych podróży. Zwiedziliśmy tę prastarą naszą dzielnicę wzdłuż i wszerz, (nie pomijając nawet zakładów górniczych na pograniczu Szląska) - wyrastaliśmy gdzie nas nie posiano - nie było piędzi ziemi wsławionej w dziejach (a przecież Bogu jest wiadomo: że tam wszystko przesławne), której byśmy nie uczcili - nie było tak zapadłego kąta, w którymbyśmy nie (~~uczcili~~) szukali guza. Bo jużto bywało się na wozie, ale także i pod wozem. W Czarkowach wzięto nas za emissaryuszów galicyjskich (było to bowiem dość świeżo po wypadkach w r. 1846) - W Korczywie latały za nami dzieciaki, sądząc, żeśmy wędrowni komedyanci, w Grodzisku, wreszcie o mało nas nie wygrzmocili chłopi 2.) Bądajto (młodość!) przeniesione na str. 32.)

1.) Coprawda, rozrywka jakakolwiek, i z innych jeszcze powodów wielką stała mi się potrzebą. W roku tym bowiem doszedłem do pełnoletności, a ztąd obowiązek wystąpienia w obronie zagrożonych praw młodszej siostry. Bogu tylko wiadomo, kosztem jakich wysileń udało mi się wreszcie ocalić jej schedę, a raczej przemocą wydrzeć ją z pazurów opieki. Z mojego własnego mienia udało mi się uratować zaledwie parę tysięcy złotych, oraz część spadku po matce.

2.) Zdarzenie to warte jest szczegółowego opowiedzenia. Zaszliśmy tam na noc, do karczemki dość odludnej, w której, za całe jedzenie, dostaliśmy głon chleba i kawałek sera. Ale że wieczór był chłodny, chcieliśmy się wprzódy napić wódki. - Wódki niema - ani piwa nawet niema - jakto? żeby zaś w karczmie?.... A tak.... Dziedzic sam w lochu oło beczki obie na kłódkę zamknął. Bo dzisiaj odpust w Skale. - Nie mogliśmy pojąć powinowactwa tych dwóch wyobrażeń. A to zaś rzecz tak się miała: że ile razy jest gdzie jarmark albo odpust w miasteczku, wtedy na całą okolicę wyszynk się już nie opła=

ci. Chłopi bowiem, wracając do domu podschoceni, wszędzie po drodze radzi dolewają, aż nareszcie gdzieśkolwiek nad miarę przelawszy, przyśpiewie a tańcu, że to naród dziwnie jurny, nuż się za łby, a że w takich razach nie żartują, więc z tego zwykle kalectwo, a czasem i co gorszego. Po tem objaśnieniu, tylko cośmy się ułożyli na ławie - aż tu ?ym we drzwi: - A otwierajcie ta! - Otwarto. - Wódki! - Niema. - Piwa! - Niema. - Jakto nie ma! ty psia wiaro. - No, no, nie psiawiarujcie. Dziedzic nie kazał - to i dosyć. - Dziedzic! A! Patrzcie go! No to my się ta przez wszyćkiego obędziewa. Hej! muzyka! - W okamgnieniu izba się zapełniła. Wszyscy byli porządnie podchmieleni. Najwięcej przewodził rosły, tęgi, przystojny chłopak, z czarnym wąsem, w zupełnie świeżych butach, którymi też tad się ciągle popisywał. Ten zaraz porwał z tej ciżby jakąś dziewuchę, ujął się w boki, i zaczął w niebogłosy śpiewać Krakowiaka, do którego się skrzypek jak mógł dostrajał, ale nie bardzo to szło gładko - czapka mu ciągle na oczy spadała; co zaś do basetlisty, ten przez sen wodził smykiem gdzie się trafiło. Rozpoczął się taniec - taniec we dwoje - pierwszy raz w życiu widziałem podobny. Dziewucha uciekała - on gonił, gonił klaszcząc, pukając, sypiąc iskry z podkówek, przyklękając, odsadzając się, hołkami brzęcząc, powiewając czapką. Dziewucha śmigała do koła, z gracyami, którychby się nie powstydziła najbieglejsza Warszawska tancerka. Miała na sobie haftowaną spódnicę, naszywany gorset, huk wstążek i korali. Wszystko to szumiało wkoło niej, i niemal warczało jak u frygi. Odrzucała warkocze, sunęła jak łania, wywijała się jak łasica. Nie była ładna, ale zgrabna i gibka, zdrowa i trzeźwa. - Krew z mlekiem. Nie wiem już jak się tam ten taniec skończył, nagle bowiem powstała wrzawa, i nawet coś podobnego do kłótni. Każdy chciał, żeby skrzypak jemu tylko do śpiewu towarzyszył, a tu, co głowa „to rozum osobny" - dość że zrobiło się jak w Trybunale. Wtem kiedy się tak swarzą, ten co tańczył przed chwilą, jak nie huknie pięścią w stół, aż wszystko podskoczyło. Cichajcie tam do stu djabłów! Ja wam tu dopiru zaśpiewam, co zobaczycie! - Tu nastawił się bardzo buńczucznie, i wpośród ogólnej ciszy, zaczął śpiewać co następuje:

Cieście się Polaki,
Bo już je po wojnie -
Cysorz (rozumieć tu należy: Austryacki) ustępuje
z Kraju dobrowolnie.

\#

Cysorz ustępuje,
Ale Moskol nie chce -
Cieście się Polaki:
Bandzie wojna jesce.

\#

A no wy Polaki....

Ale w tem któryś ze starszych trącił go łokciem, pokazując w naszą stronę. Zaczem zbito się w kupę, i poczęły się szepty, wcale dobrze nie wróżące. Tedy nie było co dłużej tu popasać, tem bardziej, że i gospodyni do odwrotu nas zachęcała. Więc wysunęliśmy się gładko, i poszli przespać pod brogiem na polu. A no owa veritas in vino dziwnie dała mi do myślenia. Z niej bowiem przekonać się mogłem, jak dalece mylą się ci, co mniemają: że lud nasz ani rozumie ani dba o to, co to Ojczyzna, albo co być Polakiem. Choć znowu, jak tu z tem pogodzić i objawy całkiem przeciwne? 1) Trzeba tedy przypuścić: że jak wszędzie, tak i tu, ten ×

1) Jednocześnie z zamierzonem powstaniem w Galicyi, jak wiadomo, przyszło też i do ruchu w Krakowskiem - ale chłopi rzucili się na dwory, pobrali obywateli, i powiązanych poodstawiali do powiatów. Za tę przysługę Rząd ich powynadgradzał, ale swoją drogą, za samowolę (snadź w obawie rzezi) srodze w Radomiu karał. Jedan ruchawka ta chłopska, miała całkiem inne niż w Galicyi objawy. Nigdzie się nie dopuścili najmniejszego rabunku. Pilnie tylko szukali wszędzie broni i „zakazanego" jak mówili, papieru", twierdząc: że „nie chcą żadnych buntacyjów." Właśnie w tej samej którą opisuję wędrówce, miałem sposobność oglądać ślady tego ich gospodarstwa. Było to w Dobiesławicach, zkąd wydali byli Mieczysława Zarębskiego (ten skazany był potem do ciężkich robót, i umarł na Sybirze). Dwór tam wytrzymał najściślejsze oblężenie, trwające ©

× sam jest stosunek złych i dobrych, głupich i nie w ciemię bitych; w czem w czem polepszenie może i nie koniecznie od oświaty zależy. Toćże w Galicyi, przy całkiem równych co do ciemnoty warunkach, jedni łupili i zabijali, a drudzy z największem poświęceniem bronili osób i mienia. 2.) Zresztą, co do Krakowiaków, przypominam sobie, co mi na miejscu z przekonania o nich mówiono: „Lud to z kości i dobry, a stworzony do wojaczki. – Szkoda tylko, że taki niesforny. Ale jakby ich do karności ułożyć...” – Ba, ba, do karności! podobno tego dobrego nam wszystkim braknie..

◎ dniem i nocą przez dni kilka. Podczas kiedy na zewnątrz nieustannie obozowano, pilnując, żeby pod żadnym pozorem nikt z domu nie wyszedł; drudzy tymczasem plądrowali po najskrytszych kątach. Mocne bardzo podejrzenie obudziły w nich nuty leżące na fortepianie: – „O! widzita – toćto nie pismo żadne, ino jakieś patki – tak mówili – trza będzie tę znowę zawieźć do jenerała – on to się ta na tem zrozumie.” Ledwie się udało organiście wywieść ich z błędu. W czasie kiedy tam gościłem, nie było już innych śladów ich pobytu, prócz powypalanych w ogrodzie i na dziedzińcu trawników – ludzie zaś miejscowi, jakby nic nigdy, po dawnemu robili swoje, i ani się już odgrażali, ani chociby przypominali, co się stało.

2.) W późniejszym czasie (w latach 1869 i 70), miałem sposobność zjeść nieco soli z góralami w Zakopanem. Lud ten taki, jakim jest dzisiaj, to jest: wiedzący dokładnie co się w kraju, ba i po świecie dzieje, niewątpliwie wykształciła oświata – rzadko dziś bowiem pomiędzy niemi znajdziesz niepiśmiennego – ale przypatrzmy mu się właśnie za owych wypadków. Mam te dane o nich od miejscowego proboszcza, księdza Stolarczyka. Ten, we Lwowie uówczas przy Biskupie się trzymając, że był człek bardzo zdolny, znajdował się na drodze do świetnej karjery. W tem jedną razą, wybuchły krwawe wypadki. Żywo się niemi zajmując, ujrzał ze zdumieniem: że w Tatrach, zkąd sam pochodził, górale Zakopiańscy, stanęli po stronie dworów, a już o miedzę ztamtąd nad Białką, objawy były całkiem inne. To go stanowczo skłoniło na drodze poświęcenia szukać raczej chwały. Jakoż postarał się o probostwo Zakopańskie, i te mu zaraz dano, bo nikt się o tę biedę ani kusił. Kiedy przybył na miejsce, Kościoła tam nawet nie było, i osada, przeszło trzytysięczna, aż o milę na nabożeństwo chodzić była zmuszona; w całem zaś Zakopanem, jedna tylko, obca jakaś kobieta, czytać umiała, i tę też z tego względu nazywano piśmiennicą. Dziś widnieją już bujne owoce kilkudziesięcioletnich zabiegów zacnego kapłana. A jednak, Białczanie, mimo wszelkich jego usiłowań, dotąd ani się pozbyli swego drapiestwa, i tylko sposobności im braknie, żeby się znowu opryszkami stali. –

---

młodość! Dwa tygodnie czasu, i to piechotą — rzecz prawie nie do uwierzenia - tak jednak było. Podróż tę całą opisałem nader pracowicie, i probowałem nawet wyjątki z niej w Bibliotece Warsz. pomieścić; ale ich niestety nie przyjęto - więc w piec poszły, a z niemi i reszta. W tym czasie poezye też porzuciłem prawie zupełnie, i nie wróciłem do niej aż w porze ruchów roku 1848. Wtedy znów mi się w głowie rozpaliło - książki w kąt poszły - począłem tworzyć gorączkowo. Rzeczy te, były przepojone werwą komiczną, po większej części okolicznościowe pamflety polityczne, w lirycznej, dość zręcznej formie. Utwory te, z przyczyn, jakby się dziś powiedziało - od autora niezależnych, (to znaczy: że, dla bezpieczeństwa, raczej się je na pamięć umiało, niż powierzało piśmu) - powoli przestarzały i bez wielkiej szkody poprzepadały. Mogę się mylić, i zapewne się mylę, sądzę jednak, że w innych okolicznościach, to jest gdyby drukowanemi być mogły, byłyby mi pewien rozgłos zyskały;1) tak zaś, skończyło się tylko na tem skromnem uznaniu, jakie może dać nieliczne kółko życzliwych ~~Zresztą~~, prawdopodobnie przeceniam ich wartość która, jak dziś, byłaby już tylko historyczną. Przewijały się tam bowiem postacie wszystkich głównych działaczy ówczesnych, jak: Lamartine, Raspail, Cavaignac, Napoleon, Leflô, Oudinot, Arcyksiążę Jan, Jellaczyc, Radecki, Windischgraetz, Urban, Haynau, Skariatin, Willisen, Pfuel, Colomb, i wielu innych. Oto tytuły niektórych pieśni (było ich ze trzydzieści): Urna (wyborcza) w Paryżu, Poseł (Francuzki Leflô) w Petersburgu, Ucieczka (Ferdynanda) do Inspruka, Modlitwa (Króla na balkonie) w Berlinie, Metamorfozy Mistrza Makiaweka, Rozhowor trojga Orłów współbraci, Wjazd (Zawiadowcy państwa Arcyksięcia Jana) do Frankfurtu, Budowa floty Niemieckiej, Wielkanoc w Siedmiogrodzie, Pochód Bema, Dobywanie Rzymu, Risquons tout i t.p.

W owym czasie, mieszkała u nas, rzec można

1.) Na usprawiedliwienie tego twierdzenia, przytoczę parę wyjątków które zapamiętać zdołałem. Oto naprzykład Leflô, sprawujący się z poselstwa swego w Petersburgu. Stosownie do ówczesnego mniemania, miał on mieć zlecenie upomnieć się o swobody dla Polski, zapewnione traktatem Wiedeńskim. O tem tedy mówić zamierza, ale Mikołaj wciąż nie daje mu przyjść do słowa. Nie pamiętam pierwszej strofy - dalsze zaś brzmią jak następuje:

A! no! co tam! Rzuć do biesa
Etykiety, interesa...
Kto raz pierwszy u nas gości,
Zwiedzi miasta ciekawości:
Peterhoffy, Carskie Sieła,
Cerkwie, Dworce, cudów dzieła -
A wieczorem, z głębi loży
Śpiew i balet Raj nam stworzy -
Śpiew, co w całym świecie słynie -
Baletniczki, jak Boginie!
- Sire! Waść bardzo mi ubliża....
Jam tu przybył aż z Paryża,
Nie dla tańca lub śpiewaków,
Lecz - z potrzeby,
To jest - żeby -
To jest - żeby dla Polaków....

(Dalszy ciąg na str. 33.)

na Kolonia cała w Klasztorze Karmelitów na Lesznie, w tych samych celach, które patryotom przedrewolucyjnym za więzienia służyły. Boże drogi! jak się to tam wtedy żyło! Mimo stanu wojennego w Kraju, stanu

A! no! co tam! to nie zginie
Chodź, przedstawię cię rodzinie.
Mój brat - Michał on się zowie
To są córki - to synowie -
A to żona - Fedorówna.
Patrz - a tamtej, cóż dorówna?
To Frejlina - bierz się do niej -
Graf, jej ojciec, z szczodrej dłoni
Sypnie posag, brzmiący mile,
A ja dodam drugie tyle.
- Sire! Waść mocno mi ubliża
Jam tu przybył aż z Paryża.
Nie dla posażnych buziaków,
Lecz z potrzeby,
To jest - żeby -
To jest - żeby dla Polaków...

Dajże pokój! Ja cię chciałem
Zrobić pełnym gienierałem.
Co ukradniesz, będzie twoje -
Ja tam o to tak nie stoję!
Znak Nieskazitelnej służby
Dać ci każę. No, a cóżby
Jeszcze chcieć, gdy w dworskie święto
Plecy twe przewiążą lentą,
I przez mnogie Manifesty
Piersi przyozdobię w chresty?
- Sire! Waść wielce mi ubliża...
Jam tu przybył aż z Paryża
Nie dla Krzyżów, ani Znaków,
Lecz z potrzeby,
To jest - żeby -
To jest - żeby dla Polaków...

A! no! to już o tem przecie
Mówmy lepiej w gabinecie.
Patrz! ta złota z herbem blaszka -
Z herbem moim - głupstwo - fraszka -
Jednak, proszę na pamiątkę,
Chciej zachować tę pieczątkę.
Że zaś mogą skraść w podróży,
I, by przyjaźń trwała dłużej,
Racz więc przyjąć z chęci szczerej
Egzemplarzy worów cztery. =
- O prawdziwie... To klin w głowie!
Co Lamartine na to powie?
Lecz ten obrazić się gotów.. -
Ha! traf z nieba!
Uledz trzeba!
Co też człowiek ma kłopotów! -

W innej pieśni (Metamorfozy Mistrza Makiawela), Franciszek Józef, spowiada się Makiawelowi z chwilowego osłabienia swojej władzy. Po dawnemu może on i dziś wydawać patenta, poczynające się szumnie od słów sakramentalnych: Wir Franz Josef.....

Tylko - widzisz - to Wir głupie
Jest dwojakie. Ja sam jedno -
Drugie składa aż trzech w kupie.
W - Windischgraetz - wódz nad wodze,

I, Jellaczyc Banus luby,
R, Radecki, bitny srodze.
Ołóż - ci mię wzięli w kluby,
Choć mi to nie szkodzi w niczem

Owszem - sami tego życzem.
Drąg, drąg zawsze, choć obciosasz -
Tak i Cesarz, zawsze Cesarz.
Niech kto chce, ich klnie i zgryta
A jam sobie Pan i Kwita.

Dalej Makiawell przedstawia Mikołajowi takich, których by można forytować na Gubernatorów w Paryżu:

- No - a gdyby Bonaparte? -
- E - to także czorta warte!
Toż stryj jego, czy tam ociec,
(Bo już dzisiaj trudno dociec)
Gorzkich nam napędzał pieprzy.
Czy ty myślisz: co ten lepszy?
Niechno Francyi skórę oźnę,
Pan Bonaparte won w Katorżne!
- No - to gdyby Cavaignaca? -
- Co Cavaignac? - ten sobaka?
Któż i czem mu gardło zatka?

Ojciec jego ścinał Króle -
Matka, wściekła demokratka -
On sam, hultaj puszczał kule
Na Czerwcowe barykady.
Którem kazał wznieść dla siebie.
- A Lamartine? Pfu! Ten blady
Ten wymoczek! co to grzebie
W Żyrondystach, i w swą lutnię
Wierzy nazbyt rezolutnie!...
- No - a Raspail - komunista?

- Co? co? Bierz go czortów trzysta!
Psom tym niczem nie dogodzi.
Choć z nich każdy oszust, złodziej,
Usyp z złota Himalaje.
Jeszcze mało dla tej zgraje.
U nich, własność, zwie się: Kradzież.
By ją odkraść, dyszą chciwie.
Syp im, kładź im, nie nadkładzież -
Więcej mają w perspektywie! -

Wreszcie w pochodzie Bema (do którego dorobił nawet muzykę Ignacy Komorowski) była jedna strofa taka:

Nasz Bem, ni z konia, ni piechotą -
On na armacie oklep oto -
Wziął ją za uszy obie,
Ostrogą w boki dziobie,
Kule jej daje do łykania
Igołą szablą w marsz pogania.

oblężenia w mieście, mimo niestannego nadzoru policyi, nawet rewizyi dość częstych, wypadki Lutowe, rozpoczynające ów rok Jubileuszowy, wydawały nam się rozpoczęciem jakiejś promienistej ery. Z dniem każdym niemal: to jakiś nowy tron przymierzchał, to jakieś niespodziane braterstwo świtało - jak się tu było nie łudzić - jak nie cieszyć? Jedynym nie wesołym naszym towarzyszem był Teodor Krzywicki. On biedaczysko dogorywał na cierpienie wątrobiane, aż wreszcie przyszła gorączka trawiąca, a z nią i smutny koniec pełnego nadziei życia 1). Przynajmniej własnej wiary nie przeżył, i nie doczekał zawodu, jak inni pozostali. Niebawem też i kółko nasze uszczuplać się poczęło. Wielu z niego na Sybir poszło i na Kaukaz - niektórzy tylko szczęśliwsi w Zamojskich Kazamatach rekollekcye odsiadywali. Żmichowska i Skimborowiczowa w Lublinie pokutowały. Karol Baliński, powtórnie do Cytadelli wzięty, tam jakiś czas trzymany, zręcznie się jakoś wywikławszy, mimo surowego policyjnego dozoru uszedł z kraju, i już go odtąd więcej nie widziałem. Okoliczności te wszystkie, w połączeniu z coraz posępniejszym obrotem sprawy wolności po świecie, bardzo przykro na mnie oddziałały. Osowiałem, świat mi spochmurniał, popadłem w zwątpienie. Na domiar złego, skończyła się też praca w Bibliotece, i znów zostałem na bruku. Właśnie wtedy Andrzej Zamojski począł urządzać żeglugę na Wiśle - tam obiecano mi pomieszczenie - wszakże nie prędzej aż na wiosnę roku przyszłego (1850). Zatem, nie mając co dłużej robić w Warszawie, wybrałem się do Szczebrzeszyna. Mieszkała tam od niejakiego czasu moja macocha, głównie dla wychowania swoich dzieci, a razem, żeby być bliżej rodziny. Tam także, siostra moja Apolonia, wyszła była za Tadeusza Wieniawskiego (brata słynnych w świecie artystycznym Henryka i Józefa). Ten zajmował wtedy posadę naczelnego lekarza w Dobrach Ordynacyi Zamojskiej. Człowiek bardzo zacny - nie miałem w życiu serdeczniejszego przyjaciela; i śmiało to powiedzieć mogę: w domu jego, w każdej przykrej okoliczności życia, znajdowałem zawsze przystań obustronnie pożądaną.

dotąd

Szczebrzeszyn, w owym czasie, był to rodzaj małej metropolii. Znajdowała się tam najlepsza może szkoła w Kraju - Gimnazyum Imienia Zamojskich, powstałe na gruzach zniesionej w końcu zeszłego wieku Akademii. Z przyczyny, że Rząd uboczenie tylko w sprawy

1.) Niemało utworów jego drukowała Biblioteka Warszawska, Pielgrzym, Dzwon, Przegląd Naukowy. Były to rzeczy może nieco za pośpiesznie tworzone, ztąd brak im rozmysłu i wiersz rozwlekłością grzeszą tu i owdzie jednak spotyka się w nich ustępy wielkiej piękności. W swoim czasie wielce zachęcany i ceniony dziś mniej słusznie całkiem zapomniany został - tak że nikt już prawie o nim nie wie. Niech więc choć tych kilka słów przyjaciela odświeży przywiędłe kwiaty na jego mogile. -

tego zakładu mógł się mięszać, (sami bowiem Ordynaci byli jego kuratorami) 1.). Swoboda tam jakaś panowała poczciwa i duch szczeropolski; mimo, że nauka szła może ostrzejszym, niż gdzieindziej porządkiem. Proffesorowie, po większej części wychowańcy szkoły Krzemienieckiej, wszystko ludzie wysoko wykształceni, stanowili znakomity dobór, godny tradycyi dawnej Akademii 2.). Słowem, rzec mogę: znalazłem tu niemal ten sam powiew ożywczy, który nam niegdyś na naszem cichem Lesznie uprzyjemniał pracę. Dodawało też uroku otoczenie, wśród którego się tam żyło. Jużto Ordynacya Zamojska, tradycyjnie bywała przytułkiem wszelkiego rodzaju rozbitków. A i dziś jeszcze, czyż to jeden się tam tuli emigrant lub Sybirak? W owym czasie Zarząd Dóbr prawie wyłącznie obsadzony był dawnemi wojskowemi polskiemi, lub innemi źle notowanemi rewolucyjnemi duchy. Obywatelstwo też okoliczne, po większej części dzierżawcy Ordynaccy, przeważnie do tej samej należeli kategoryi. Zkąd, ten swojacki, jak powiedziałem, nastrój życia, obywatelsko-starodawny. Miasteczko samo, w uroczem położeniu, wśród wzgórz ponad Wieprzem, mając w pobliżu niemniej ludne osady Zwierzyńca i Klemensowa, pełne było ruchu. Niemało rodzin z Wołynia i Galicyi zjeżdżało tam dla wychowania dzieci (bo była nawet i pensya żeńska). Zimą bawiono się jak za dobrych czasów. Słowem, pobyt w tej miejscowości bardzo był przyjemny, a jak dla nas, którzyśmy tam jeszcze w pobliżu i krewnych i znajomych mieli dużo, podwójnie pożądany. Tam też, niemal w ciągłych przejażdżkach, przebyłem część lata, jesień i zimę roku 1849. Wreszcie na wiosnę następnego roku, wcześnie zgłosiłem się do Klemensowa, gdzie obecny tam hr. Andrzej Zamojski ponownie upewnił mię o swoich dobrych chęciach. Ale kiedym, polegając na tem, w Warszawie, do Dyrektora Żeglugi Barcińskiego się stawił, ten zbył mię ni tem, ni owem, a kiedym nalegać począł, oświadczył mi; że nie wyglądam na to, abym mógł podołać trudom nieodłącznym od podobnej pracy. Może i miał słuszność - bądź co bądź osiadłem znów na koniu.

Tymczasem, porobiłem niektóre literackie stosunki. za pośrednictwem przyjaciela mego

---

1.) W następstwie stopniowo rzeczy się zmieniły. Rząd począł podglądać, podbadywać, następnie z ramienia swego coraz nowych nauczycieli nasyłać coraz ciekawszych, coraz więcej sobie oddanych - aż wreszcie Turkułł wziął na siebie Gimnazyum owo od Zamojskich dla Rządu wytargować. Jednocześnie, nie wiem już czy z jego porady, czy też może tylko na jego rachunek to zrobiono, ale znagła odkryto tam niby jakiś spisek pomiędzy młodzieżą. Usłużnie urządził to niejaki Horoszewicz. Zaczem posły zaraz uwięzienia, wywózki, w końcu pożądane zamknięcie szkoły, w której gmachach, czemprędzej, Moskiewskim obyczajem, pomieszczono lazaret, ażeby, nawet zabudowania (a te były bardzo okazałe) ile możności spustoszyć. Od tej chwili, miasteczko także bezpowrotnie upadło.

2.) Ztamtąd pochodził też Józef Żochowski, ów nieszczęśliwy entuzyasta, co to w przystępie mistycznego uniesienia w r. 1848, z piedestału pomnika Małachowskiego u Św. Jana w Warszawie, wśród nabożeństwa, wygłosił do ludu podżegawczą przemowę. Zdaje się, że już wtedy, skutkiem nadmiaru pracy, niezupełnie przy zdrowych był zmysłach. Niemniej wysłano go do Omska, gdzie też umarł wkrótce w szpitalu.-

Teofila Nowosielskiego (chwalebnie zasłużonego krajowi filantropa, a właściwie nawet pedologa – osobliwie bowiem umiłował dzieci), poznałem się ze Stanisławem Jachowiczem. Temu zaraz deklamować musiałem ustępy z poematu mego Marek Jakimowski – nie mógł się ich odchwalić.[1] Serdeczny ten człowiek odrazu bardzo mię polubił. Doprawdy, psuł mię do tego stopnia, że przygotowując nowe całkiem wydanie a raczej wybór swoich bajek, rady mojej zasięgał: jakie z dawniejszych zachować, a jakie usunąć. Na szczęście, niemniej ufał w tym razie Józefowi Paszkowskiemu (znanemu przekładcy Szekspira); z nim tedy wspólnie działając, połowę przynajmniej odpowiedzialności zdjąć z siebie zdołałem. W owym czasie, pracował on właśnie nad pomysłami do poznania zasad języka polskiego. Rzecz to była zalecająca się oryginalnością metody i przedziwną jednością wykładu. Pamiętam, grammatykę rozpoczynano tam loiką i teoryą składni – nie wiem, czy to z druku kiedy wyszło. Gromadził także materyały do słownika przysłów, a raczej jak sądzę wyrażeń stylowych – ale i z tem nie wiem co się stało. – Przez letnie miesiące mieszkał sobie Jachowicz w Łaskadzie. Chodziliśmy tam z Nowosielskim, i wracali nieraz późnym wieczorem kiedy księżyc wschodził, czasem w towarzystwie Dobrzyńskiego lub Trosila – chwile te dotąd mam w żywej pamięci. Ten zacny człowiek tak nam bywał rad zawsze, tak się nami serdecznie cieszyć umiał, tak się nami bawił wybornie! Już on nieboraczysko wzrok wtedy tracić zaczynał. Był to człowiek niezrównanej słodyczy charakteru, dziwnej prostoty uczuć i pojęć, niezmiernej, udzielającej się zaraźliwie, wiary we wszystko co dobre, piękne, szlachetne – nie podobna go było nie kochać.

Wójcicki także bardzo przyjaźnie mię przyjął, i mimo że w lat kilkanaście potem całkiem się dla mnie odmienił, nie mogę, jak tylko z żywem uczuciem wdzięczności wspominać chwile nie jednokrotnie w jego domu spędzane. Nie szczędził mi nigdy ani zachęty, ani pomocy wszelakiej. Biblioteka jego i zbiory stały mi zawsze otworem, równie jak i dobra porada, i on to pierwszy zachęcił mię do studyowania wzorów epoki Zygmuntowskiej, co może, z całego mego literackiego zawodu, za jedyną mi będzie kiedyś poczytano zasługę. [W tem miejscu, chciałbym jeszcze choć kilku słowy przyczynić się do uznania zasług tego człowieka, którego dzisiejsze pokolenie tak lekkomyślnie od wszelkich praw do stanowiska w literaturze odsądza. Że go postęp w metodzie badania przeszłości wyprzedził – nic to przeciw niemu nie mówi, bo niemniej on spełnił swoje. Samouk, a raczej w ogóle człowiek mało co umiejący, tem bliższy był prostoty owych rzeczy, które żarliwie gromadził; że zaś żadnego twórczego talentu nie posiadał, tem pewniejsze są jego wskazówki; że zamiast rozumować poprostu kochał, tem zacniejsze są jego sądy. Przyśli po nim przenikliwsi, zasobniejsi w dary

1899.
Anna z Magnuszewskich Wójcicka, wdowa po literacie, zmarła dnia 22 października, przeżywszy lat 87.
Tylko tyle.
Była też siostrą Dominika Magnuszewskiego także sobie literata.

1.) Właściwie był to początek tylko, i nawet na nim się skończyło – a i ten mi przepadł bezpowrotnie. Należał bowiem do rzędu tych utworów, które w rękopiśmie nie bardzo było było bezpiecznie trzymać w domu wówczas. –

Boże, w zdobycze wiedzy, tacy jak: Ignacy Chodźko, Pol, Rzewuski, Syrokomla, Kaczkowski, ale on ma to do siebie: że przed niemi wyszedł, i że im torował szlaki. Oni są sławni i takiemi zostaną - on już dziś z pola zeszedł, ale niemniej był pożyteczny, i robota jego nie przepadnie. Inni, jak: Oskar Kolberg, jak Kazimierz Turowski, rozszerzyli zakres jego działalności - niemniej on jest ich przewódcą. [W młodości żył z Bielowskim i Siemieńskim, i kto wie, czy wpływem swoim nie pokierował dalszego ich zawodu. Bo jużto odznaczała go zawsze chwalebna uporczywość w rzeczach, które mu były miłe. Sam mi opowiadał, jak niegdyś Andrzej Kucharski drwił sobie z tej jego jak nazywał „chłopskiej literatury" - to go jednak nie zniechęcało, i robił dalej swoje. Owem, cobądź o nim powiedzieć można, nie podobna mu odjąć tej chwały: gorąco kochał wszystko co swoje, i że miłość tę udzielać umiał. Człowiek zresztą wysokich cnót domowych, wzorowy mąż i ojciec. Zawsze zajęty pracą, żywił przy sobie bardzo liczną rodzinę, bo nie tylko najbliższą, ale i dalszą. Wiecznie tam jakieś siostrzenice się przytulały lub podrastali bratańcy. Nigdy też nie odepchnął nikogo z młodszych pracowników - owszem, chętny wszystkim, umiał każdego ośmielić i natchnąć otuchą. [Co do mnie, jak to już wyżej powiedziałem, przy pierwszem zaraz poznaniu mocno się mną zajął. Wiedział już o mnie od Karola Balińskiego - żądał tedy koniecznie czytać moje utwory; przeczytawszy zaś, wybrał dwa (mojem zdaniem najsłabsze, to jest: Tęskne chłopię oraz Dziwne dziewczę) w których upatrzył niejakie powinowactwo z Bohdanem Zaleskim (!), i oświadczył: że, czy się na to zgodzę czy nie, on to w „Bibliotece Warszawskiej" wydrukuje. W to mi graj - właśnie nie co innego było życia mego marzeniem *) Potem spojrzał na podpis: - Felicyan? - cóż

[illegible] w text na str. 38. w nawiasie

[*) Kiedy sobie przypominam pierwsze wrażenie poznania takich ludzi, jak: Wójcicki, Jachowicz, Korzeniowski, Żmichowska, Bartoszewicz, i t. p. szczerze to powiedzieć mogę: że się zwykle ograniczało na tem, że poprostu, jak to mówią, trzech zliczyć nie umiałem. Dziś stosunki w tym względzie o wiele się ułatwiły. Mógłbym na to przytoczyć tysiące przykładów; ale poprzestanę na kilku, poczerpniętych z własnego doświadczenia. [Przedewszystkiem usuwam na bok wszelkie pokuszenie równania mojej osoby z wyżej przytoczonemi znakomitościami - chcę tu mieć tylko na względzie wiek mój prawie już sędziwy, i zresztą jakie takie, niechby już najmniejsze, zasługi. - Niedawno temu, w pewnem towarzystwie, jakiś młody człowiek, sam zapragnąwszy mi się przedstawić, zaczął rzecz w te słowa: - Przedewszystkiem przyznam się panu Dobrodziejowi: że nie lubię i nie uznaję żadnej poezyi. Trzeźwość poglądów kochany Panie jest jedyną zasadą mojego życia, choć naprawdę, ściśle biorąc, powiem panu łaskawemu, zasady nawet uważać należy za przesądy i t. d... O tym jegomości sądzićby można (choć tak wcale nie jest): że mu piątej klepki braknie - więc wreszcie mniejsza już o niego. Inny znowu (tą razą był to już zakrój na literata), powiada mi ni ztąd ni zowąd: - Słyszałem, że pan użył w tragedyi swojej (Althei - była już naówczas drukowaną) wierszy miarowych. Przyznam się panu, że wiersze nierymowe w języku naszym uważam za rzecz pozbawioną wszelkiej przyczyny bytu. Tak mię gładko nauczył rozumu ów młodzieniaszek, którego całą powagę stanowi dotąd to tylko, że jest siostrzeńcem Destyny. [Przechodzę do ludzi rozumniejszych. Dwa lata temu, na odebrane zaproszenie z Redakcyi Niwy, pośpieszyłem ofiarować temu pismu przekład wstępnej satyry Juwenalisa. Trzymano to dość długo w zawieszeniu, nareszcie zażądano, żebym dołączył wstęp objaśniający, cóż i usku-

Ze str. 37-8 notkę włączyć

III

to? pseudonym? – Nie – to jest moje imię. – A czemu nie nazwisko? – Zrozumieć nie mógł moich powodów; musiałem mu stanowczo oświadczyć: że od swego nie odstąpię 1.).

Tak więc, nareszcie dobiłem się przecie wyjścia na świat Boży. Dziś, nie wiem, czy się te rzeczy równie żywo odczuwają. Pism się namnożyło, i trzeba być chyba ostatnim bazgraczem żeby się gdzieśkolwiek nie przyczepić. Tacy zaś, co darmo dają swoją pracę (rzadcy bardzo, i to chyba na początek dla zachęty) liczą się do dobrodziejów pisma. W owym czasie nikomu nic nie płacono 2.) a wymaceniłem; i kiedym z gotowym już rękopismem do Redakcyi przyszedł, zastałem tam Ochorowicza, Chmielowskiego, i Sienkiewicza. Ten ostatni wziął rękopism, począł go przeglądać, i na poczekanie robił mi zarzuty błędów stylowych. Byłato w ogóle pogadanka bardzo sobie poufała. – Inną razą, kiedy tu po raz pierwszy przyjechał Fredro młodszy (w towarzystwie Koźmiana), przyjaciele umyślili wydać dla niego obiad. Odebrałem zawezwanie do składki – ale nic na to nie odpowiedziałem. W dni parę, zatrzymuje mię Lubowski, w Saskim ogrodzie, i pyta o powód odmowy. – Bom ani aktor, ani pisarz dramatyczny, ani choćby sprawozdawca teatralny – powiadam mu, żeby go się pozbyć. – Przecież byli tam i literaci. – Zapewne znajomi tych panów. Co do mnie – to ani ja nie mam przyjemności znać ich – ani oni zapewne nigdy o mnie nie słyszeli. – A on mi na to: – No tak. Co do Fredry – zapewne; ale Koźmianowi, zdaje mi się, że Estrajcher kiedyś wspominał o Panu. – To są własne jego słowa: – Wogóle, tak mi się zdaje: że nie ma nic łatwiejszego, jak nie powiedzieć komuś niegrzeczności. Ale na to trzeba podobno umieć zmilczeć w porę – a młodzież dzisiejsza tak nawykła dużo mówić i z zachwyceniem słuchać tej swojej mowy, że jej trudno czasem nie powiedzieć głupstwa. – Wracam jeszcze do przyjezdnych. Ludzie starej daty, jak Zacharyasiewicz, Małecki, Estrajcher, Szujski, ile razy tu przyjadą, sami się jak najchętniej trudzą, to dawne odnawiać znajomości, to zawierać nowe, – ale młodym panom przedstawiać się trzeba w garkuchni, przy butelce. Prawda, że na tych sympozyjach (jak dziś przynajmniej) przewodzi zwykle Lewestam i Jaksa Bykowski.]

1.) Powody zaś moje, gdyby i dziś przyszło rzecz tę decydować, byłyby te same co wtedy. Jest jakaś fatalność, przywiązana do mego nazwiska. Sądzę, że musi być tak trudne, czy też tak mało wybitne, jak rzadko. Nieraz, najbliżsi, nazywali mię Fałęckim, Felińskim, lub nawet Falkowskim. Nie widziałem nigdy, żeby się równie plątano pomiędzy np. Wójcickim, Wojczyńskim i Wójcikiewiczem; Górskim, Gurowskim i Góreckim; Trębickim, Trębińskim i Trąbczyńskim – choć warunki tu przecie jednakowe. Ale już to i z moim pseudonymem nie lepiej mi się wiodło. Nikomu nigdy na myśl nie przyszło dopełniać takie podpisy, jak: Deotyma, Ely, Jeż – nawet weźmy mniej znanych jak: Miron, Ordon, Zbigniew itp. Co do mnie, wiecznie mi dorabiano do niego nazwisko, i to w sposób jak wyżej bardzo trafunkowy. Nie dalej oto jak temi dniami, przy wystawieniu na scenie Krzyżyka na drogę, nie wiem nawet jakiem prawem, bo wbrew mojemu wyraźnemu życzeniu, na afiszach uparcie nazywano mię Felińskim – aż wreszcie Echo odezwało się ze sprostowaniem. –

2.) Jako zabytek tego błogiego zwyczaju, do niedawna jeszcze, Biblioteka Warszawska, od czasu do czasu zamieszczała zawiadomienie: „jako ona płaci za artykuły takim ludziom, coby się o to wyraźnie upomnieli." Widocznie tedy liczono tu na wyjątkowe jakieś zuchwalstwo, które już z góry hańbą piętnowano. Zresztą, i tak datuje to dopiero od chwili kiedy już inne pisma płacić poczynały; skutkiem czego, mogło Bibliotece zabraknąć współpracowników. Ale nawet i bezczelnością nie zawsześ tu wskórał, to jeśliś i wskórał, to już jak najskromniejsze było twoje wskóranie. W latach od 1861 do 1869 włącznie, byłem stałym Biblioteki owej współpracownikiem. Pomieszczałem tam mnóstwo artykułów, a płacono mi tylko za krytykę, i to w stosunku 150 złotych za arkusz druku tak zwanym petitem; co wynosiło ledwie po cztery grosze za wiersz. –

gania były o wiele większe. Przekonałem się o tem niebawem, kiedy, zbyt zaufany w mojem powodzeniu, ofiarowałem Bibliotece wzmiankowany wyżej ustęp z Wycieczki w Krakowskie, niewielką powiastkę, oraz poemat [1] Termopile. Wszystko to sromotnie mi odrzucono. Przykrość mi to sprawiło nie małą - przyznaję - głównie ze względu na Termopile, o których miałem przekonanie: że posiadają wartość niejaką. W istocie, dość się nawet podobały Sewerynowi Gołębiowskiemu, który też jeden bronił ich na posiedzeniu, i to sprawiło, żem ich nie spalił. One także zjednały mi znajomość z Henrykiem Cieszkowskim, a ta mi się bardzo przydała jak o tem poniżej powiem.

Poprzednio wspomniałem jeszcze, żem się przez Nowosielskiego poznał z Tripplinem. Doprawdy, mało w życiu spotkałem sympatyczniejszych ludzi. W lat wiele potem, kiedy mię doszła wiadomość o jego rozbiciu, miałem z tego taką przykrość, jakbym utracił kogoś bardzo mi bliskiego. Istotnie, niepowetowana to szkoda. Człowiek był niezmiernie dobry - ostatnią koszulę z siebie byłby oddał biednemu. Dziwnie łatwy w pożyciu, zawsze dobrej myśli, umysł miał bystry, serce na dłoni, wielkie do kraju przywiązanie. Z tego powodu był na noże ze swym bratem Cenzorem. Nie mogąc się z krwi wywieść polakiem, wolał już być Francuzem z pochodzenia, niż Niemcem - bo Niemców z duszy nie cierpiał. Jakoż, śledząc pilnie w papierach domowych, doszedł wreszcie: że istotnie pochodzili z rodziny francuzkiej, osiadłej w Niemczech po odwołaniu Edyktu Nantejskiego, skutkiem czego nawet byli kalwinami. Z chlubą powiadał mi nieraz: że ojciec jego mógł do grobu zstąpić z tą myślą udręczającą, że był Niemcem - gdyby on mu nie był otworzył oczu. Istotnie, z krwi, z temperamentu, z powierzchowności nawet, czysty to był Francuz. Kto go nigdy nie znał, w całości dowiedzieć się go może z portretu Simmlera, który jest jednem z arcydzieł tego Mistrza. Z postawy, spojrzenia, z rysów, z ruchu głowy, wydatnieje tam ten umysł rdzennie południowy, wrażliwy, zapalny, do uniesień skłonny, a razem do cyganii usposobiony i do blagi. Jednak, nie prawdą jest co o nim powiadano: że noga jego nie postała z większej części krajów, które opisywał; wiem że wszędzie tam miał stosunki, które podtrzymywał nieustającą korespondencyą, nie licząc już tego, że wybornie posiadał kilka języków, z któremi cały świat zwiedzić można - usposobienia zaś nadto był ruchliwego, żeby zdołał długo na miejscu jednem wysiedzieć. Literaturę też angielską, hiszpańską, włoską, nie licząc już polskiej, francuzkiej i niemieckiej, znał na palcach, i sąd miał o wszystkiem niewątpliwie własny. W owym czasie zaczynał już być pieszczochem towarzystwa oraz i literackich nakładców, i to go, jak mniemam, zwolna zepsuło, a w następstwie, o upadek przywiodło. Miałem w nim serdecznego przyjaciela. Z delikatnością sobie właściwą, koniecznie życzył sobie być mi użytecznym. Nie mogąc inaczej, podjął się uczyć mię po hiszpańsku,

---

1) Właściwie tylko pieśń jego pierwszą - gdyż dalsze znacznie później dorobiłem.-

i mocno żałuję że do tego nie przyszło; ale nagle wypadło mi wyjechać z kraju.

Powiadam „z Kraju” bo jak wówczas dla nas istniała tam granica 1.); a jednak, nie dalej to było, jak na Wołyń, tuż za Włodzimierzem. Właśnie polecił mię był Henryk Cieszkowski (sam z tamtych stron pochodzący) hrabiemu Feliksowi Czackiemu, który potrzebował kogoś do urządzenia mu zbiorów Bibliotecznych. Jakoż niebawem się tam wybrałem.

Sielec, była to całą gębą pańska, choć już nieco nadpróchniała rezydencya; i to bynajmniej nie skutkiem braku środków do jej podtrzymania, ale tak oto właściwym Wołyniowi szykiem pyszno-skąpskim, który tak dosadnie Pol w pieśni o Ziemi Naszej podchwycić na uczynku potrafił. Pałac półkolisty ogromny, w cudownem położeniu na wysokiej górze, zkąd tarasami spuszczały się ogrody ku rozległemu jezioru, zdaleka już wyglądał bardzo okazale. - Bibliotekę zastałem tu dość zasobną (przeszło 5000 dzieł); i zaraz się zabrałem do jej urządzenia - ale się pokazało: że właściwie potrzebny byłem do towarzystwa staremu hrabiemu. Był to człowiek blisko już siedmdziesiątletni, dobry, grzeczny, wykształcony; ale całkiem zdziecinniały. Zdawszy całe gospodarstwo na żonę (także z domu Czacką) sam bawił się w muzykę dworską - ale osobliwie w Historyę Rewolucyi Francuzkiej. Był to synowiec Tadeusza, wnuk po matce 2.) Ignacego Potockiego, syn Michała, bardzo zasłużonego w swoim czasie obywatela i miłośnika rzeczy ojczystych, i sam nawet nie bez zasług (był bowiem w r. 1826 bardzo pożytecznym prezesem Komissyi Edukacyjnej trzech Zabranych Gubernii); tem więc dziwniejsza ta jego monomania rojalistowska, w rzeczy, nic a nic z nami nie mającej wspólnego. Tem jeszcze dziwniejsza, że mówił po francuzku najopłakańszym akcentem polskim, którego nabył, jak mi sam powiadał, od swego nauczyciela Wiśniewskiego, ojca sławnego Michała, aż to mu tak było w naturę wrosło, że nawet w Paryżu, lekcye deklamacyi które tam brał od Talmy, nic na to poradzić nie zdołały. Historyę zaś tę swoją do nieskończoności przerabiał i wygładzał, i ciągle przepisywać kazał (miał do tego wyłącznego sekretarza), i wszystkim, czy kto chciał czy nie chciał, czytywał lub do czytania zalecał; przyczem najczęściej zasypiał, wprzódy jeszcze niż drudzy. Zasypiał pisząc, zasypiał z fajką w zębach, czasem nawet przy obiedzie. Był to typ w swoim ro=

1.) Za tę granicę, nieporównanie trudniej nawet udzielano paszportów, niż gdzie dalej na obczyznę - tak dalece nie życzono sobie wzajemnego stosunku tych dwóch części jednego Kraju, dopóki jeszcze coś sobie robiono z Kongresu Wiedeńskiego. Ukaz zaś, zarządzający zniesienie tej granicy, był rzec można, postanowieniem jeszcze jednego rozbioru Polski, przygotowującym ostatecznie wcielenie jej reszty, co niechybnie i tak miało nastąpić, jakkolwiek ułatwiły to wypadki roku 1863.

2.) Potockiej, słynnej z talentu malarskiego. W wielkiej sali pałacu Sieleckiego, pamiętam rodzinny portret jej roboty, przedstawiający ją samą z trojgiem dzieci (to jest: synem Feliksem, oraz córkami, późniejszą Jenerałową Szeptycką, i Anielą, która umarła panną), jako Matkę Grakchów.

dzaju. Do tego niesłychanie roztargniony, nigdy nie wiedzący na dobre, co się z nim dzieje. Nie było nic pocieszniejszego, jak widzieć, kiedy go ubierano. Odbywało się to często chodzący. Biegał za nim kamerdyner goląc go, myjąc, czesząc, koszulę mu wdziewając, a za nim też lokaje z miednicą i szczotkami. On tym czasem albo do fortepianu siadał, albo śpiewał coś uporczywie, będąc też jak się rzekło wielkim melomanem. Latem, bywało kiedy szedł do kąpieli, niesiono za nim książki, papier, pióra, atrament, fajki - bo tam co najmniej dwie godziny przebywał, wskakując do wody, potem leżąc na ławce, czytając, pisząc, fajkę paląc, drzemiąc, i znów do wody wskakując. A pływał jak ryba. Człowiek zdrów, krzepki, nigdy nie chorujący, swojego czasu zawzięty jeździec, bywało do Krzemieńca (mil coś 18) wierzchem się puszczał - wtedy konie mu na drodze rozstawiano. Z usposobienia żywy, niczem się nie trudzący, widocznie stworzony był do czynnego życia - szkoda więc, że kierunek jego wychowania (jak mi się zdaje przeważnie macierzyński) nie wyzyskał tych jego zdolności w sposób korzystniejszy. A jako sam był żelaznego zdrowia, tak i u drugich nie rozumiał zmęczenia. Owego sekretarza swego, na całą noc zasadzał do przepisywania, jakby to były rzeczy terminowe - a nazajutrz najczęściej ani się o to spytał. Wszystko mu było dziwnie pilne. W podróży, nieustannie tylko poganiał stangreta: - no dalej - dalej! - cóż ty w miejscu stoisz? - jakto? jeszcześ tu? - Przytaczam te szczegóły, bo charakteryzują równie człowieka, jak i w ogóle magnata Wołyńskiego, jeszcze o wiele rozumniejszego i więcej wartego od drugich. W młodości przyjaźnił się z Kropińskim, znał też Felińskiego; nie potrzebuję zaś mówić, że niezmiernie wiele ciekawych szczegółów miał zawsze do opowiadania o swoim sławnym stryju Tadeuszu. Tego zaś syn jedyny Wiktor w Porycku mieszkał, ale nie osobliwie o nim w Sielcu mówiono - nawet przy obcych - co mi się zawsze dziwnem zdawało, żyli bowiem z sobą na stopie przyjaźnej. Ale co prawda, na Wołyniu owym, obyczaje nie w jednym względzie od reszty naszego Kraju odstają. Pamiętam np. i to mię zawsze mocno raziło: ile razy przyjechał kto z gości, konie i służba zawsze do karczmy odchodziły, i nikt się temu nigdy nie sprzeciwiał. Co większa, przyjeżdżały nieraz do Sielca na czas dłuższy siostry pana Feliksa - wtedy służba tych pań musiała się żywić własnym przemysłem urządzając sobie za swoje strawne stół na folwarku lub na wsi. A przecież rodzeństwo to kochało się serdecznie; a znowu, z drugiej strony, na stole dworskim w Sielcu żywiło się do stu ludzi, więc cóż tam znaczył przybytek pary osób lub kilku? - W ogóle życie tam prowadzono dość jednostajnie. Pani najczęściej za domem, objeżdżała folwarki, naglądała ekonomów, bo była bardzo skrzętna, i to jej za zasługę poczytać należy; inaczej bowiem nie wiem jakby tam szły interesa, przy owej historyi rewolucyi francuzkiej a także po części i muzyce. W niedziele jednak państwo oboje zawsze byli u siebie, i to było powszechnie wiadomo. Wtedy zwykle zciągali sąsiedztwo i najczęściej tańczo-

no. Zimowe miesiące przepędzano w Warszawie, wtedy też miałem więcej swobody, choć co prawda nie wiele się na tem zyskiwało, bo znów z kolei przychodziło osamotnienie, i gdyby nie książki, nie starczyłaby skóra za wyprawę. Miejscowy doktór i kapelmistrz Czech byliło tylko starsi lokaje, i jedyne znośne towarzystwo przedstawiło się tam w osobie niejakiego Malczewskiego głównego Zarządcy dóbr, którego żona była siostrą Józefa Korzeniowskiego. U nich też roku następnego w lecie miałem pierwszą sposobność poznać tego słynnego pisarza. Wracał wtedy z Odessy, gdzie miał również siostrę za Sowińskim, zdaje mi się stryjem Leonarda. Korzeniowskiemu na szczęście odrazu zdołałem przedstawić się w warunkach bardzo dla mnie przyjaznych. O próbach moich literackich wiedział już z Warszawy, od siostry zaś miał przesadne o mnie zalecenie, żem z usposobienia wesoły i zmysłu dość spostrzegawczego. Sądzę, że osobliwie te dwa względy ostatnie dobrze go dla mnie usposobiły. Miał w sobie sporo złośliwości, i zawsze lubił takich, co tę żyłkę zdradzali. Do tego znał swój Wołyń na palcach, i w ogóle nie wiele pochlebnego miał o nim do powiedzenia. Odrazu mię tedy ośmielił, i niebawem byliśmy jakby dawni znajomi - powiem więcej - jakby literaccy współtowarzysze. Kiedym się potem opatrzył, sam się zdumiałem, jak się to stać mogło. Ale już to Korzeniowski w wysokim stopniu posiadał tę poufalącą swobodę obejścia - byle tylko chciał - cóż kiedy nie zawsze chciał i nie z każdym. W pałacu naprzykład, grzeczności mu robiono wielkie - on jednak w ogóle dosyć szorstko to przyjmował. Wtedy to mógłem się przekonać o prawdziwości robionego mu zarzutu: jakoby lubił niekiedy powagę swoją nosić nazbyt wysoko. Co do mnie jednak, śmiało to powiedzieć mogę, że nigdy z jego strony na sobie tego nie doświadczyłem. Zawsze był mi szczerze życzliwy, bardzo moich postępów ciekawy, i w każdym czasie ku pomocy chętny.

W Sierpniu, tego samego roku, po ukończeniu mojej roboty, opuściwszy Sielec, pobyłem znowu czas jakiś w Szczebrzeszynie i u krewnych, poczem wróciłem do Warszawy. Tu zastałem ruch ogromny. Właśnie jakoś w owym czasie zniesiono granice od zabranych Krajów, skutkiem czego wylała się rzec można istna nawałnica narodów, na naszą mało dostępną dotąd Kongresówkę. Nie takiego zbiorowiska wszelkiego rodzaju cudaków a nawet awanturników chyba Warszawa od czasów Stanisławowskich nie oglądała 1.). Niebywali jacyś Nababowie,

1.) Jako typ tego rodzaju niedobitków, zacytować tu można znanego Piotra-Jaksę Bykowskiego. Ten, ostatecznie uwiązł w Warszawie, bo zdaje się że już nie miał do czego wracać. Stary ten Satyr, zmarnowawszy ojcowiznę, na początek bardzo buńczucznie posiał w mieście parę tysięcy Rubli, poczem z rozmaitem powodzeniem pieczeniarzył tu i owdzie, robił długi, dopełniał wychowania bogatych młodzików, stręczył się do rozmaitych posług - następnie wyspekulował sobie posadę w Komitecie Urządzającym - dziś zaś jest jednym z potężnych filarów Przeglądu Tygodniowego, i byle się wydarzył obiad jaki składkowy ku czyjemu uczczeniu, on tam zaraz z równem powodzeniem bywa przedstawicielem obywatelstwa, jak Lewestam - literatury.-

fantastyczni pseudo-bogacze, problematyczni obywatele, bajeczni magnaci, od siedmiu boleści marszałkowie, naderwani bałaguli – słowem najhumorystyczniejsze z końca świata postacie, wirujące wprzódy jak ćmy około Odessy, Berdyczowa i Petersburga, zleciały się naonczas do Warszawy, jakby dawszy sobie wspólne hasło. Wszystko to cierpiało jakieś monomanie, to do muzyki, to do teatru, to do koni, to do psów, to do polowania na posagi, to do pozbywania się córek, czasem nawet żon – zapamiętale się kręciło, grało w karty, piło, po wschodniemu szumiało jakiemiś resztkami, potem brnęło w długi i najczęściej kończyło skandalem, lub cichaczem dawało drapaka przed wierzycielami – niektórzy nawet gardła sobie podrzynali, lub w inny sposób pozbywali się utrapionego życia, którego nie było już czem podtrzymywać. Wtedy też zjawił się i Henryk Rzewuski, który już nawet w Cudnowie swoim nie miał za co siedzieć. Że był jednak człek przedsiębiorczego ducha, niebawem tedy wydworaczył sobie posadę przy Paskiewiczu, oraz Koncessyę na wydawanie Dziennika Warszawskiego. Wypadek ten ostatni stanowi rodzaj ery w dziejach pracy literackiej w naszym kraju – było to bowiem pierwsze pismo, które zaprowadziło odcinek, a co ważniejsza, za artykuły płacić poczęło. Tu także rozpoczyna się działalność Wacława Szymanowskiego. Nie wiem już jakiem sposobem stał się on satellitą Rzewuskiego, bom przy tem nie był – ale to pewna, że mu się umiał stać niezbędnym. Niebawem nawet wprowadził się do niego, bo tamten obyć się już bez niego nie mógł. Kiedym go u Łuszczewskich poznał, sam mi opowiadał: że z Rzewuskim do Krakowa jeździć musiał (czy też może gdzie i dalej); że zaś w owym czasie o paszport niesłychanie było trudno, (nie licząc kosztu który na osobę wynosił 200 Rubli), pojechał więc w charakterze jego lokaja.

Tylko co wspomniałem Łuszczewskich. Wprowadził mię do nich Ignacy Komorowski, o którym, równie jak o bracie jego Józefie, dwóch najserdeczniejszych moich przyjaciołach, osobno powiem. Właśnie wtedy pojawiła się była Deotyma, i cudownemi istotnie improwizacyjami swemi, szalone tłumy do domu rodziców swoich ściągała. Rzeczywiście, w tych niewielkich trzech pokoikach (w lewem skrzydle pałacu Saskiego gdzie jest środkowy balkon od strony ogrodu), bywało po dwieście osób, tak, że nie tylko siedzieć, ale stać nie bardzo było gdzie; na szczęście, jedni wchodzili, wychodzili drudzy. O salonie tym dużo byłoby do powiedzenia – zasługa jego jest niezmierną. Istniał lat dwadzieścia kilka, przebył najprzykrzejsze chwile, i ocenić należy poświęcenie jego gospodarzy, którzy dla owych poniedziałków sami wyrzekli się wszelkiej zmiany trybu życia, i rzec można do bruku Warszawskiego przyrośli Zgromadzał

X

Przypomina mi się z tej okoliczności następujące opowiadanie Szymanowskiego. Raz, kiedy, w powrocie od Łuszczewskich, pod wpływem improwizacyi, Rzewuski, nie mogąc się uspokoić, Deotymę niezrównanym nazywał geniuszem, Szymanowski powiada: – E to nic tak nadzwyczajnego – ja tak samo potrafię. Niech mi Hrabia poda jaki temat, a ja podejmuję się z tego powodu gadać wierszami, aż dopóki w gardle nie zaschnie. – No dobrze. Niech będzie, dajmy na to, Obiad Czwartkowy u Króla Stanisława. Siadł w fotelu, zawinął się w szlafrok, i słucha – aż wreszcie zasnął i chrapie. Wtedy Szymanowski buch pięścią w stół aż wszystko się zatrzęsło, a tamten zrywa się na równe nogi: – Co to takiego? –

A to właśnie wchodzi Fremo,
Mówiąc swą postacią niemą
Pożądane wszystkim słowa:
Że już zupa jest szczawiowa. –

– Jakto? i ty ciągle gadałeś wierszem? – A jakże. Czy mam dalej ciągnąć? Nie – nie – już będzie dosyć. Widzę z tego, żeś i ty geniusz. No – chodźmy spać. –

się tam wybór towarzystwa - istotnie to, co kwiatem jego zwać się godzi - arystokracya rodu, pieniędzy, intelligencyi, sztuki wszelakiej. Słowem tacy, którzyby się nigdy w życiu z sobą nie zeszli, tam spotykali się i zawiązywali stosunki 1.). Co do improwizacyi owych, byli tacy, co je podawali w wątpliwość - ja jednak śmiało twierdzę, że się mylili. Deotyma istotnie posiada ten dar nadzwyczajny (nie wiem czy dotąd). Bóg wie ile razy później nawet miałem sposobność sam to sprawdzić. Tajemnice formy dla niej nie istnieją, ma ona jakiś niepojęty dar szykowania sobie zdobyczy swoich naukowych w dziwnie harmonijne porządki, z których, jakby za najlepszych czasów greckich, tworzą się godne czci świątynie 2.) ~~- Improwizacye te~~

1.) Na tych wieczorach, bywało, panie usuwały się wedle północy, poczem podawano cygara i papierosy, a w parę godzin zostawała już tylko garstka nieliczna na poufałą pogawędkę. Wtedyto dopiero istotnie się bawiono. Ktoś grał lub śpiewał lub co czytał - przeglądano najnowsze książki, zawiązywała się rozmowa ogólna, zwykle pouczająca, a w każdym razie jak najmniej powierzchowna.-

2.) Po za obrębem tego daru, jestto osoba mierna całkiem. Własne sądy jej o rzeczach sztuki są tuzinkowe, w życiu zaś codziennem zdaje się chodzić omackiem, i nigdy jeszcze nie trafiła gdzie potrzeba, a raczej zawsze tam zaszła, gdzie się jej najmniej spodziewać godziło. - Na pogrzebie Pięciu poległych niosła koronę cierniową i improwizowała Dzwon Zmartwych=wstania - a w jakiś czas potem zrzuciła żałobę narodową, i nie wiedzieć po co bywała w Zamku i Łazienkach. Później, kiedy pomimo tych wszystkich objawów lojalności, ojca jej wywieziono, pojechała z nim dobrowolnie, i to się jej chwali. Ale dlaczego, zaraz po powrocie, poczęła znowu uczęszczać do Zamku (na którym już nawet nie książę Konstanty, ani Wielopolski siedział, ale taki krwawy oprawca Kraju, jak Berg wiekopomny, który jeszcze w dodatku ojca jej wywieść kazał.) tego nikt nigdy nie docieki. Następnie, po śmierci Rodziców, jakkolwiek byt miała aż nadto zapewniony, ni ztąd ni zowąd osiadła na rezydencyi u niejakiego Wolfa, wielkiego brudasa, który w ciągu lat kilkunastu z niczego zrobił kilka milionów majątku. Zdaje się, że na dnie tego wszystkiego próżność siedzi, odziedziczona po matce, dręczonej zawsze żądzą oryginalności, oraz cierpiącej chroniczny brak taktu. Deotymie wiecznie się wydawało: że jest czemś tak wielkiem w narodzie, że nie tylko nie może robić tego co drudzy, ale owszem drudzy robić powinni to co ona. Nie bez tego, żeby się tu i zamiłowanie zbytku za coś nie liczyło. U tych Wolfów mieszkając, urządziła wieczory sobotnie, na których występowała w charakterze Królowej, mającej swój dwór symboliczny, i porozdawane godności. Dygnitarze tego osobliwszego dworu nosili odpowiednie godła w dziurze od guzika. Składał się on z samych niedorostków, w pośród których jednak stary Odyniec nie wstydził się nosić ucho (jako niby spowiednik), oraz Skimborowicz książkę, jako Bibliotekarz. Śmieszność dochodziła tam do swego zenitu. Niejakiego Miłkowskiego (podobno Szambelana Jej Królewskiej Mości), bardzo lichego smarkacza i potrosze nawet rzezimieszka, wcale jednak nie za te jego sprawki ale za jakieś duchowe przeniewierstwo, publicznie tam dekapitowane in effigie - to jest wzięto głowę jego fotografii. Zresztą wszystkim jest znana pocieszna, uroczystość uwieńczenia przez Deotymę Prądzyńskiego, autora praw Kobiety. (Ten - trzeba także komicznej Nemezy! - w czas niedługi potem, wplątany po uszy w słynne przekradanie okowity, zmuszony był wziąść nogi za pas i bodaj czy się z tego wydobył). Na wieczory te przychodzić należało ubranym jak na bal - sama gospodyni (risum teneatis) pilnie tego przestrzegała. Z tego powodu, o brak białego krawata, miał z nią raz bardzo przykre zajście hr. Stanisław Zamojski, tak, że się zarzekł przyjść tam więcej - co prawda niepotrzebnie i wprzódy przychodził. Nareszcie zaprowadziła tam czytanie swoich utworów - które już wszyscy znali z druku. Wtedy, bywało, wnoszono jej tron ponad głowami obecnych - na tym

Improwizacje Deotymy

4) ~~jednak~~, odrazu z niezmiernem, a jednozgodnem przyjęte uniesieniem, w następstwie rodzicom Deotymy (a pewnie i jej także) dziwnie uderzyły do

ona uroczyście zasiadała (na wzniesieniu), i rozpoczynała ową ucztę duchową, która trwała czasem parę godzin bez przerwy. Że zaś wielki ścisk tam panował a z nim zwrotnikowe gorąco, wielu tędy zasypiało, i ci bardzo źle bywali notowani. Na te uczty wiecznie zapraszała Berga, i nareszcie jedną z takich raczył obecnością swoją zaszczycić. Rzuciło to postrach na całą dzielnicę - ten Jowisz bowiem zjechał tam jak zwykle w otoczeniu Czerkiesów, policya zaś obsaczyła tymczasem wszystkie wejścia i wyjścia. W innym czasie nawiedziny podobne byłyby raz na zawsze salon wieszczki opróżniły - ale dziś pozbyto się już nie jednego przesądu, zresztą i towarzystwo tam bywało stosownie dobrane*). Od niejakiego czasu już te przyjęcia ustały. Sądzę, że miały na celu reklamę dla Wolfów i porobienie im obstalunków - ale to, jak się zdaje, chybiło. Doprawdy, rzecz przykra nawet powiedzieć, do jakiego stopnia Deotyma się w tym względzie zapominała. Raz, zastałem ją na wieczorze u Jaśnieństwa Roztworowskich. Tam, bawiono się nią w jak najlepszym tonie, nareszcie, widząc że tego tylko pragnie, proszono żeby co swego

3) zadeklamowała. Wtedy, na jej skinienie, lokaj wniósł grubą torbę, w której się mieściły wszystkie jej poezye, i z tych wybrawszy jedną (na początek) rzekła bardzo majestatycznie: - Pieśń błękitna - przypisana serdecznej mojej przyjaciółce Eugenii Wolf.... - W tem, zwracając się do Zofii Ossolińskiej: - Pani nie zna Eugenii Wolf? O pani! życie tej kobiety jest jedną ciągłą poezyą! - Tu dopiero poczęta wyliczać wszystkie jej cnoty, zupełnie na podobieństwo komiwojażera, zachwalającego próbki barchanów, albo markę wdowy Clicquot. (Mówiąc nawiasem, ta osoba o nieustającej poezyi, w sam dzień ślubu z jakimś ukochanym młodzianem kiedy się znagła Wolf jej oświadczył, bez namysłu zerwała z tamtym, i za tego poszła, - bowiem tamten był sobie tylko urzędnikiem w Nieszawie, ten zaś, choć i Żyd i okropnie brzydki i jak się powiedziało brudas nieposledni, ale miał już gruby worek do którego coraz więcej rubli przybywało.) Nie, - ta torba z próbkami uczucia wożona po wszystkich drogach - to rozdawanie przy nich adresów - było dla mnie czemś tak dojmująco przykrem, że byłbym się pod ławę schował ze wstydu - przypuszczać się godzi: że Deotyma poczyna już sama siebie przeżywać. Za dowód posłużyć może jej powieść "Na Rozdrożu", która na niewidziane na wagę złota jak zwykle zapłacona, w rzeczywistości okazała się być kotem w worku, zdolniejszym poodstraszać prenumeracyjne myszy, anizeli choć jedną przywabić i schwytać, jak na to liczono.

---

*) Nadskakiwania te - pokazało się wreszcie - nie były bynajmniej bezinteresowne. Jakoż uwieńczone zostały dożywotnią pensyą 1,500 Rubli, które wieszczka (równie jak i Odyniec - trudno wiedzieć za co) od rządu pobiera. Takich smutnych wypadków możnaby i więcej naliczyć. Niedawno temu, kiedy umarł Kasztelan Dębowski - (ostatni z Kasztelanów, jak się o nim niechcący nader trafnie wyraził Skimborowicz), człowiek nie bez zasług niegdyś w Kraju, ale dziwnie rozpustny i nierządny, i przeto sponiewierany wieczną u Rządu żebraniną, Kotzebue Karól go pochować kazał swoim kosztem, a za to karty pogrzebowe były po rossyjsku, i Własow całym obrzędem osobiście kierował. Policya też rozpędzała wierzycieli i rozmaite jejmoście, użyczając opieki córce nieboszczyka, która zaraz po śmierci ojca pobiegła prosić o to do Zamku. -

głowy. Łukaszewscy oboje nigdy nie grzeszyli zbytkiem taktu - przyszło tedy do tego, że kiedy te utwory krytyka na zimno rozbierać poczęła, i nieco umiarkowaniej przed niemi bić czołem, brali to za osobistą urazę. Wtedy Niewiarowski jakąś dowcipną parodyą Improwizacyi, dobrowolnie drzwi sobie ich salonu przed nosem zatrzasnął. Mniej dobrowolnie spotkało to Szymanowskiego, który, dziwnym duchem sprzeczności, w oczy kadząc im niepomiernie, (tak, że każdą improwizacyę w Dzienniku zamieszczoną kazał odbijać złotemi czcionkami na różowym papierze), jednocześnie tu i owdzie ośmieszał Deotymę, sam improwizując jej wzorem w sposób pocieszny, do czego ma istotnie talent znakomity. Co gdy do nich doszło, poprostu zalecili lokajowi ze schodów go zrzucić, gdyby się zjawił. Nie wiem już jakim sposobem, w czas jakiś znowu sobie drogę na tych schodach do góry utorował - niemniej pewnem jest, że do łaski wrócił, i odtąd stale już przy niej pozostał. - Stało się wreszcie: że Prusinowski, zatrwożony bezwzględnem bałwochwalstwem krytyki, wystąpił w Gazecie Warsz. z trzeźwiejszym nieco poglądem, oddając rzecz pod miarę i wagę. Zrobił to jak mówiono z naprawy Kraszewskiego - ale pewności o tem nie było - a niemniej za pierwszej tego ostatniego w Warszawie bytności, Łuszczewski, nie omieszkał publicznie a ostro mu to wymówić. Kraszewski słusznie się tem obraził, i nie było nikogo ktoby nie wziął jego strony. Już to też nareszcie próżność tych ludzi doszła była do szczytu śmieszności 1); ale bodaj czy nie głównie w tem winno nadmierne dworactwo tych, co niemal byli ich domownikami. Święcki (jeśli się nie mylę) zrobił był popiersie Deotymy, Kaniewski wymalował ją w zachwycie z twarzą pełną jasności nadziemskiej, Simmler improwizującą w wieńcu laurowym w otoczeniu dwóch geniuszów spisujących na kolanach jej słowa. Do wszystkich tych portretów pozowała w stroju greckim, bo już weszło było w zwyczaj: że do popisów swoich wieczorowych występowała w coraz jakiemś innem przebraniu. Stawało się to coraz pocieszniejsze. Nareszcie doszło do tego: że obie z matką przebrały się w stroje pielgrzymskie, i tak chodziły po mieście, nie używając już innego ubrania. Potem zaczęły

x+) 2 do str. 47 notki

Śmierć Skimborowicza a następnie Odyńca, najzupełniejszy przewrót w przyjęciach Deotymy sprowadziła. Zawalenie się tych dwóch filarów tronu, na dobre jej wyszło. Zeskromniała - zwolna kilko dworaków się rozpierzchło, i nareszcie sama szukać poczęła dawnych zaniedbanych stosunków. Jakoż, na obchodzie jubileuszu Zacharyasiewicza, zbliżyła się do nas, i po staremu, szczerze prosiła o powrócenie jej dawnej przyjaźni. Nawiązało się to tem łatwiej ile że wszelki nastrój uroczysty jej salonu bezpowrotnie w mgłę się rozwiał. Wreszcie z wiekiem, przyszło niezdrowie, aż i obecnie coraz silniej jest cierpiącą i prawie już chodzić nie może. Garstka odwiedzających ją coraz się zcieśnia. Czasem zastać ją można najzupełniej samą. Z tem wszystkiem, nic nie robi dla ulżenia sobie cierpień. Po dawnemu nocami żyje, nadmiernie pracuje - zachowała jednak całą żywość umysłu - a nawet powiedzieć można - bardzo jej jakoś wypogodniała dusza - co bywa tylko wyższych usposobień udziałem. —

---

1) Do jakiego to stopnia sam Łuszczewski był człek próżny, za dowód przytoczę tylko: że kiedy go jako jednego z niebezpiecznych w roku 1863 policya przyszła porwać w nocy, ubrał się w mundur szambelański i w tym, prosto z domu (bo tak wszystkim zrobiono wtedy) pojechał na wygnanie. Jako zaś rys charakterystyczny do dziejów owej epoki, dodam tu jeszcze, że go naprzód spytano: „gdzie jest jego syn?" - a gdy się pokazało, że syna nigdy jako żywo nie miał, - „no to nic nie przeszkadza" - rzekł na to officer dowodzący ową wyprawą, - „to w takim razie pan sam pójdziesz z nami." Widocznie bowiem brodziło się tu omackiem, zapuszczając niewód na chybił trafił, - ztąd i niedziwota, że tyle się w nim znalazło ryb śniętych, jak pomieniony Łuszczewski, jak Reszke, Kucz, Węgliński i tylu innych tym podobnych.

robić wycieczki artystyczne, urządzając popisy (jak to między innemi miało miejsce w Krakowie) 1.); aż nareszcie, skutkiem tych częstych nieobecności w domu, owe słusznie słynne niegdyś u nich poniedziałki, powoli, straciwszy znaczenie, z czasem całkiem ustały. ~~xx)~~ 2.)

Wspomniałem wyżej mój stosunek z Komorowskiemi. Niebawem doszedł on do najserdeczniejszej zażyłości. Poznałem naprzód Józefa. Ten, tylko co się był rozłączył ze swą żoną. Kobieta była niewątpliwie płocha, bo naprzód, jak już wyżej namieniłem, z Wolskim się bałamuciła, następnie z Bachmanem gorszący miała stosunek; ale kiedy się ten powiesił, w czas jakiś uczciwie za niejakiego Tuncelmana wyszła, i odtąd nic już jej nie było do zarzucenia. Ztąd wnoszę: że poprostu z Komorowskim nie możebne miała pożycie. W istocie, przy wszystkich swoich zacnych przymiotach, człowiek to był najmniej zapewne stworzony na męża. Artysta do szpiku kości, poeta, marzyciel, charakteru dziwnie wrażliwego, a oraz jak wosk miękkiego – w życiu domowem kapryśnik był niezmierny, i tylko wyrozumiałością a spokojem niezachwianym zjednać go sobie było można. Zjednany zaś, w ogień by za ciebie wskoczył – bo nie umiał nic robić przez połowę. Co zaś do Ignacego, to ten, wyznać muszę, od razu, każdego, bez najmniejszych zastrzeżeń, przywiązać do siebie musiał. Charakteru najzupełniej biernego, dziwnie uczuciowy, namiętnie kochający wszelkie piękno, prostaczy sercem a umysłem aż do nieba wzniosły, robił mi zawsze wrażenie jednego z tych idealnych chłopiątek Bożej sprawy świadomych, jakie tylko Lenartowicz odgadywać umiał. On też Lenartowicza rozumiał jak drugiego siebie, i kiedy go stracił (właśnie w tym czasie go poznałem), wyglądał nie swój, mocno przybity, i całą duszą dźwigać go było trzeba. Zresztą, poprawdzie, nie miał on i przyjemnego życia. Słabego zdrowia, wątły, karlący, ciężko pracować musiał, wieczorami w orkiestrze teatralnej grywając, w dzień lekcye dając, i jeszcze chodząc do Frejera na naukę harmonii – ztąd nocami tylko mógł dla siebie coś zrobić. Jednakże, przy całym tym wysiłku, zarabiał zaledwie do 1,200 zp. rocznie, co w połączeniu z 6,000 które Józef pobierał (kto się dziś nie uśmiechnie na podobne wynadgrodzenie najcelniejszego w owym czasie dramatycznego artysty?) wystarczało zaledwie na jakie takie ich obu utrzymanie. Aleći to już uważali za względny dobrobyt. Czas długi bowiem bardzo byli biedni. Ojciec ich (dawny polski wojskowy – następnie Murgrabia przy pałacu Łazienkowskim) łatwo pojąć, że zaledwie był w stanie w szkole ich utrzymać; a jeszcze by-

---

1.) W jednej z takich, w Paryżu, na samym schyłku r. 1860, a więc niemal o świcie gotujących się wypadków, wypowiedziała Deotyma (Do Młodzieży w Batignollach) jedno z najświetniejszych swoich uniesień twórczych, prawdziwie Pindaryczne arcydzieło pełne proroczego jasnowidztwa, – niestety! – na tem, zdaniem mojem, zawód swój poetyczny najzupełniej zakończyła. –

2) za str. 46

ła i córka w domu (ta, kiedym ich poznał, już nie żyła). Biedny ten ojczysko! Znaczono mu było wszystkie swoje dzieci przeżyć! W Łazienkach zajmował on pawilonik, skryty w klombie. Była tam na piętrze salka z balkonikiem, - tam, ile razy nocowaliśmy - a raczej przegawędzili noce całe - bo do Łazienek bywała ulubiona wycieczka nasza w pogodne wieczory letnie po teatrze. Później, kiedy już Ignacy tyle się miał niedobrze, że zmuszony był Orkiestrę opuścić, bywało, tygodniami całemi tam przebywałem, pocieszając biedaka i wzmacniając, miał bowiem nie mylne przeczucie niedalekiej śmierci. A może tylko - jak to rzecz zwykła suchotnikom - rad był, żeby mu przeczono; bo to tem mocniej utwierdzało jego własne złudzenia. Ztamtąd także odprowadziłem go, kiedy jechał w podróż na południe, ani przewidując, że go już więcej nie ujrzę....

IV

Ale nie uprzedzając wypadków, wrócić muszę do dalszego ciągu własnych moich wydarzeń. Od wspomnianego wyżej powrotu z Wołynia, aż do jesieni r. 1852, prawie nie opuszczałem Warszawy. Pracowałem i czytałem dużo. Tłomaczyłem Wilhelma Tella i Narzeczonę z Messyny; ale nie dokończywszy tych przekładów, w ogień je rzuciłem, i sądzę, że niczego też lepszego nie były warte. Z rzeczy oryginalnych, prócz niektórych drobiazgów które weszły później w skład Kwiatów i Kolców, napisałem tylko Zdaleka i Zbliska. Psie pole i drugą pieśń Tarnopil. Tymczasem nadciągnęła straszliwa Cholera, i kiedy kto w Boga wierzył uciekał od niej z miasta, ja, uwziąwszy na upór, zostałem i do dziś tego nie żałuję. Wrażenia pobytu w owym rosole utrwaliłem później w powiastce O złotych dziesięć (była drukowana w Kalendarzu Ungra za rok 1862). Zdarzenie tam opisane nie jest żadnem zmyśleniem. W istocie zakład ten zrobił jeden z Ćwierciakiewiczów, jak już wyżej wspomniałem. Nareszcie, pod koniec już zarazy, zmęczony równie fizycznie jak i moralnie, wyjechałem do Radomia, gdzie wtedy mieszkał szwagier mój, Doktór Wieniawski. Tam, odpocząwszy, kiedym znów do Warszawy wrócił, wypadło mi myśleć o nowem jakiem pomieszczeniu. W tym celu, zdałem egzamen na nauczyciela i już gotów byłem na wsi gdzie obowiązki przyjąć, kiedy w tem przyjaciele, chcąc mię w Warszawie zatrzymać, upatrzyli mi dwie roboty, jak się zdawało dość zyskowne. Z tych pierwsza niebawem okazała się być gruszką na wierzbie. Szło tam o napisanie libretta do Flibustierów Dobrzyńskiego, a raczej, o całkowitą przeróbkę dawnego, które od początku do końca psu na budę się nie zdało. Nie wiem już, kto się tam na nie wysilał - przypuszczam że chyba sam Dobrzyński - ale widocznie nie dano mu było wyprzedzić Wagnera. Koniec końcem, dorabiać tekst do gotowej już muzyki, było istotnie robotą co się zowie - wszakże i to jeszcze mniejsza,

gdyby choć było z kim gadać. Ale jużto, wiedzieć trzeba, Dobrzyński przy całem swojem znakomitem uzdolnieniu, osobliwszy był wartogłów, próżniak i niedbalec. W domu nigdy nie zagrzał śniadania lubił i butelkę, i bywało dnie całe na mieście przebajał, a osobliwie przepił i przebaraszkował. Z lekcyi żył, a te jednak miesiącami całemi zaniedbywał, choć mu je opłacano jak nikomu. Słowem, nie mam nawet pojęcia, czy z tym człowiekiem kiedykolwiek poważnie pomówić było można. Tak i w tym razie, nie wiedzieć ile czasu mi zmarnował, wiecznie odkładając na jutro, - aż się wreszcie przyznał: że co prawda, już tę rzecz zdawna Wolskiemu powierzył. - Wyszukałeś go w korcu maku - pomyślałem - i odszedłem jak zmyty [1] Zato, druga proponowana mi praca obiecywała być o wiele pewniejsza, a nawet dość zyskowną. Szło tu o nowy całkiem przekład Kancyonału protestanckiego. W tym celu zalecono mię pastorowi Otto. Ten dał mi zaraz tekst niemiecki, i wybrał kilka psalmów do przekładu na próbę. W dni parę kiedy mu odniosłem robotę, bardzo był z niej zadowolony, ale oświadczył zarazem, że ostatecznie w tym względzie rozstrzygnienie zależy od Doktora Malcza, ówczesnego prezesa Gminy. Sądziłem, że tu szło już tylko o ułożenie ostatecznych warunków obustronnej umowy, - ale jakież było moje zdumienie, kiedy mi również zdumiony Malcz oświadczył: że do tej roboty oddawna się już Wolski zobowiązał, co przecież pastorowi Otto wcale nie było tajne. - Dla czego tedy, wiedząc że z tego nic być nie może, na swoją rękę ze mną się układał? nigdy dojść nie potrafiłem; - nie raz jednak w życiu miałem sposobność sprawdzić własnem doświadczeniem: że nie więcej kosztuje na zawód kogo narazić, jak i zawodu komu oszczędzić [2] Tak więc, ostatecznie, równie tu jak i tam Wolski wlazł mi

[2a

1.) Owo utrapione libretto, znacznie już później, po przyjaźni, napisała mu Seweryna Pruszakowa (dziś Duchińska) - ale kiedy je wydał w druku, zrobił to tak niedbale, tak poplątał z poprzednią robotą, tak osobliwszy stworzył z tego bigos, że wstydząc się przyznać tę rzecz za swoją, zmuszona była protestować w Bibliotece Warsz., jako przeciw nadużyciu własnego nazwiska.

2.) Co zaś do pastora Otto, to ten, znacznie później, w nierównie ważniej dla mnie okoliczności, jeszcze mniej uczynnym a równie lekkomyślnym się okazał, - z czego wnoszę: że albo szczęścia do niego nie miałem, albo że nie zupełnie jest tak niepospolitym człowiekiem za jakiego uchodzi. Szło tu o polubowne rozsądzenie sprawy, którą mu oddawałem w ręce, zawierzając w tym razie potrójnemu charakterowi jego osoby, to jest: jako obywatela, jako duchownego, i wreszcie jako starszego krewnego strony przeciwnej. Z góry uprzedził mię: że go stawiam w drażliwem położeniu, i że z tego powodu zapewne nic dla mnie nie będzie w stanie uczynić. Jakoż, nie tylko nie usiłował sprowadzić jakiekolwiek porozumienie, ale nie zganił nawet obelżywego listu, który do mnie napisał mój przeciwnik - człowiek młody, mogący być moim synem, i rozpoczynający dopiero zawód życia, kiedym ja już prawie u jego kresu. A jednak, Bóg mi jest świadkiem, żem go nie skrzywdził, i że tylko sam się od krzywdy broniłem. -

w drogę. Jednego i drugiego nie zrobił, i wiedziałem że nie zrobi, - wszakże nie było innej rady, jak dać za wygranę. Nie namyślając się tedy dłużej, za pośrednictwem Gregorowicza, przyjąłem obowiązki nauczycielskie w domu niejakiego Żarzyckiego, w Sandomierskiem, tuż pod samym Opatowem, prawie u podnóża gór Świętokrzyskich. Miałem tam dwóch uczniów, których należało do szkół przysposobić. Miejscowość urocza, sąsiedztw prawie żadnych - ztąd sposobność obcowania z najcudowniejszą w świecie przyrodą, wpośród mnóstwa wspomnień prastarych. Pomijając już sąsiedztwo Łysicy i odwiecznego na niej Opactwa, tuż opodal znajdował się Karwów, gniazdo niegdyś Kadłubkowe; w innej znów stronie Tudorów, ze starą czworoboczną strażnicą; ale zwłaszcza Opatów, a w nim wspaniała owa Kollegiata z grobowcem Szydłowieckich. Mało pamiętam w życiu przyjemniejszych samotni. To też wyobraźnia bujała tam, jakby w jakim u chmur uwieszonym hamaku. Tam skończyłem Termopile, napisałem Ponad Źródłem i Kamiennika, Wiano Królewny, Zaślubiny Świętej Katarzyny, oraz niemało Kwiatów i Kolców, a także niektóre Świstki Sylena.

Więc też, kiedym te rzeczy w tece mając, w r. 1855 do Warszawy wrócił, natychmiast wziął mię w obroty Szymanowski, będący już wówczas członkiem Redakcyi Kroniki Wiadomości Krajowych i Zagranicznych. Wszystkiego jednak skończyło się na Wianie Królewny, - reszta bowiem albo mu się nie podobała, albo nie przydała - to zaś co się przydać mogło nie było cenzuralne. [Bądź cobądź, zjednało mi to stosunek z Julyanem Bartoszewiczem 1.), którego zdawna już gorąco poznać pragnąłem. Stosunek ten był mi odtąd nieocenionym skarbem zdrowych wskazówek, dobrej rady, zachęty w pracy. Chlubię się życzliwością tego człowieka, jakby własną jaką zasługą. W istocie, miał on dar osobliwy ujmować każdego, kogo do siebie pociągnął - bo jużto byli i tacy, których trzymał zdaleka. Ci pomawiali go o uprzedzenie - ale on wiedział, co robił. Człowiek przedziwnie czysty, nieugiętego, prawdziwie żelaznego charakteru, niczem nie przejednanych przekonań, gotów zawsze do walki w imię prawdy - z tego powodu mógł miewać i miewał nieprzyjaciół, ale nie było takich coby mu odmawiali szacunku, bo ci byliby mieli nie z nim jednym do czynienia. Dla mnie był on zawsze ideałem nigdy i niczem nie strudzonego pracownika, naukowego ascety, nie bywałego już za dni naszych Benedyktyna, wiecznie głodnego wiedzy jakbądź zasoby jej miał i tak już nad miarę zwyczajnego człeka. Obdarzony wielką bystrością poglądów, słusznie

---

1.) Zdaje mi się że on był głównie Kierownikiem Kroniki, choć właściwą Redakcyę stanowił Komitet, złożony ze współwłaścicieli pisma, jakiemi byli w ówczas: Feliks Sobański, Konstanty Górski, Leon Zbyszewski, Antoni Ostrowski i Feliks Ogiński. -

też sięgał wyżyny, z której się rozległe tylko ogląda widnokręgi. - Te słów kilka, nie zdolnych nawet dać choćby przybliżonej miary wpływu jaki wywierał, piszę, wiedziony jedynie potrzebą serca, - człowieka tego nie kochałem ale czciłem, podobnie jak i wszyscy młodzi, którzyśmy mieli szczęście zbliska czy zdaleka za swego Mistrza go uważać. Jakoż zjawiła się nas wtedy, w różnych kraju stronach, wzajemnie o sobie nie wiedzących, garstka jednak dość spora. Jabłoński, Laskorys, Korotyński, Zacharyasiewicz, Wilczyński, Prusinowski, Wieczorkowski 1)....

Czasy te wydają mi się podobne do jakiegoś wiosennego zarania. - Było to tylko co po ukończeniu Kampanii Krymskiej. Paszkiewicz dogorywał w niełasce, Wincenty Krasiński wyręczający go czasowo w Zarządzie Krajem, marzył o namiestnictwie, na którem miał nadzieję z narodem się przejednać, - Turkull, mówiono, czekał tylko zręczności, żeby nowemu panu statut organiczny do wprowadzenia podsunąć. Słowem, kto mógł śpieszył dowieść: że nie on był winien odstępstwa, ~~tylko żelazna wola Mocarza, którego, że już niema, to Bogu za to dzięki, a narodowi błogie nadzieje~~ 2). Jakoż, o nowym panu, jak najsympatyczniejsze krążyły wieści. Przypominano sobie legendy o nim dziwne: - że się kiedyś w Polce podobno kochał - że ojciec, zszedłszy go raz na czytaniu Czwartego tomu Mickiewicza, za karę na odwach go wsadził. Uważano go za człowieka bardzo łagodnych obyczajów, skłonnego do ustępstw, i tyleż przystępnego podszeptom uczucia, ile ojciec jego dbał tylko o to: żeby go

---

1) Syn jedyny zasłużonego twórcy Osad Rolnych, z powołania historyk skutkiem nadmiaru pracy wpadł w chorobę piersiową. Wysłany na południe, umarł na okręcie w drodze do Messyny, w wieku zaledwie lat dwudziestu kilku. Mniej więcej w tym samym wieku, tylko nieco później umarł i Jabłoński w Zanzibarze, gdzie miał miejsce przy Konsulacie Austryackim.

2) Śmierć Cara Mikołaja była istotnie czemś wyrocznem, czemś dziwnie oczekiwanem, i jakby ogólnie wypragnionem. Pamiętam, kiedy nastąpiła, niepojętym sposobem, dnia tego samego (2 Marca 1885), żołnierz jakiś w Opatowie o tem gadał, i za to go przez rózgi puszczano. W trzy dni dopiero potem, nadeszła wiadomość, o której dowiedzieliśmy się z tego tylko, że zaraz wszystkich do nowej przysięgi powołano. - Niebawem, w ślad za tym srogim Mocarzem, począł precz odchodzić i cały jego system nieubłagany. Paszkiewicz, wróciwszy z niczem z pod Sylistryi *) gdzie nawet, nigdy nie znanem poprzednio wydarzeniem, wojsko posłuszeństwa mu odmówiło, udręczony upokorzeniem i niełaską carską, wkrótce śmiertelnie się rozniemógł. Nareszcie już i żyć nie chciał, a jeszcze umrzeć nie mógł, w czem niewątpliwie mniej okazał odwagi od swego pana, który jak to powszechnie wiadomo, nie wahał się w porę skrócić sobie życie. Czy zaś jest prawdą: że długo skonać nie mogąc, kazał wszędzie szukać matki Artura Zawiszy, ażeby zdjęła z niego wyrzeczone niegdyś w godzinę śmierci syna przekleństwo - tego nigdy nie badałem bliżej - w owym czasie jednak wszyscy w to wierzyli. - Wkrótce pociągnęli za nim i drudzy, nie zdążywszy, mimo nawet chęci niekłamanych (jak Krasiński, Turkull, Jezierski), ku schyłkowi życia obskrobać z siebie błoto, w które wleźli: jedni przez próżność, drudzy przez tchórzostwo. Tak to krzywda wszelaka sama w sobie zarody własnej pomsty nosi.

*) Jeździł tam z nim jako dworak nieodstępny Henryk Rzewuski. Tego tedy, na przewozie w Uściługu spotkawszy wypadkiem Podhorodeński z Hrabiennego dawny polski wojskowy: - A to zkąd hrabiego Pan Bóg prowadzi? - pyta obcesowo. - Z Sylistryi. - Nie może być. Chyba z pod Sylistryi - rzekł stary żołnierz. Rzewuski zielonkowato się na to uśmiechnął. -

się bano. Niebawem, entuzyazm ten, począł w literaturze się ujawniać. Odyniec nastroił zaraz lutnię ażeby wyśpiewać „przyjście Królestwa Bożego," i w ogóle dziwnie się w tym kierunku odznaczyło Album Wileńskie, tak że w końcu Klaczko, w Wiadomościach Polskich, wychodzących naonczas ad hoc w Paryżu, zmuszonym się widział rozhukaną tę werwę do niejakiego opamiętania napędzić. Cośkolwiekbądź, zaprzeczyć niepodobna, że otucha zdawała się każdemu wtedy w żyłach niemal krążyć. Powiewy swobody opływały cię zewsząd. Było niby, jakbyś z zatęchłego wydostawszy się więzienia, otwartem wreszcie oddychać począł powietrzem. Powietrze to było zaledwie podwórkowe, a w koło siebie czułeś jeszcze dawne kraty i mury - względnie jednak, piersiom o wiele lżej było - niestety! - nikt nie przewidywał wtedy, że w niedalekiej przyszłości pożałować przyjdzie Mikołajowskiego ucisku, który przynajmniej wiedział czego chciał, nie tak wcale jak ów nowy, tak zwany bien intentionné, uśmiechnięty, z pazurami w rękawiczkach paryskich, mało już nawet dziegciem pachnący, - a za to zataczający się po pijanemu, w chwilach zaś wytrzeźwienia ratujący się wyzyskiwaniem nienawiści stronniczych i rassowych, a wreszcie poburzający je - bodaj czy nie ku własnej swojej zgubie. - ~~Ale co tam - na bok z polityką.~~ Jak powiedziałem wyżej, mając nie mało rzeczy w tece, nie widziałem jednak możności umieszczenia ich gdziekolwiek. Do Biblioteki Warszawskiej zgłaszać się już nie śmiałem - tem mniej do Gazety Warszawskiej, która zmonopolizowawszy Syrokomlę z żadną inną poezyą mieć do czynienia nie raczyła.1). W powieści zaś królował tam Korzeniowski, Kaczkowski i Chodźko; ale ponad wszystkiemi górowała Gwiazdka Niewiarowskiego, istotnie dziwnie zręczny, dowcipny, błyskotliwy, zaciekawiający jak jeszcze przed tem nie było felieton, i z tego też powodu bardzo chciwie czytany - a nawet (co się dziś już dziwnem wyda) używający niejakiej powagi. Tymczasem, Bogiem a prawdą, była to tylko Muszkieterya starodawna, ustrojona w brzęczącą blagę - a ta, jak to wiadomo, w połączeniu zwłaszcza z nader wesołym żywotem, była zawsze nieodłączną właściwością Redakcyi Gazety Warszawskiej. Później nieco, bractwo to kuflowe (które ma na sumieniu rozpojenie Syrokomli) poczęło się nieco rozprzęgać - przyszło nawet do zajścia pomiędzy Niewiarowskim i Kenigiem, które się zakończyło pojedynkiem - ale w owej porze Niewiarowski był tam niemal samowładcą, i to do tego stopnia, że mu powierzono wreszcie dział krytyki literackiej. Jak się z tego wywiązywał to już do historyi należy. Zresztą w owym czasie, w ogóle tak mało umiano, że

---

1.) Mimo to już powziąłem był zamiar pokornie się tam wprosić, kiedy w tem na szczęście moje usłyszałem raz u Łuszczewskich Keniga opowiadającego: w jaki sposób odpalił z niczem jakiegoś młodego poetę, który przyniósł swoje utwory. - Uważasz panie - (tak mu miał powiedzieć -) - my drukujemy tylko nazwiska. -

sądy podobnego Krytyka mogły sobie spokojnie pewnej wziętości używać. I jeszcze było pół biedy dopóki tylko poezye obrabiał, bo na tej znał się nieco, a raczej miał jej przeczucie, będąc szczerym entuzyastą Słowackiego, - ale kiedy zaślepiony powodzeniem jął się po kolana w naucę brodzić, przyszło do tego, że z wielką prozopopeją opisując raz czyjś grobowiec, wytłumaczył nieświadomym, jako: „piis manibus" znaczy „pobożnemi rękoma" - i na tem nieco karku nadkręcił 1.). W owym czasie jednak stał on u szczytu swojej powagi, i albo jak Lewestama poprostu kupić go należało, albo go spoić co na jedno wychodziło, albo się na chybił trafił powierzyć jego kapryśnej fantazyi 2.). Wybrałem, jak się wyżej rzekło, stanowczo dać pokój Gazecie. Pozostawała mi więc tylko Kronika. Tam chętnie chciano drukować „Zdaleka i Zbliska"; ale znowu cenzura na przeszkodzie stała. Z porady tedy Szymanowskiego, powierzyłem rękopism Konstantemu Górskiemu, i ten zawiózł go do Krakowa. Tam Lucyan Siemieński zużytkował go niebawem w wydawanym wówczas przez siebie „Dodatku do Czasu", i to mogę nazwać pierwszym moim pomyślnym wstępem w literackie szranki. W istocie powiastka ta miała trochę rozgłosu; wkrótce przetłomaczono ją na język niemiecki, ale co najważniejsza, zjednała mi serdeczne uznanie Lenartowicza, jak o tem poniżej opowiem. Zachęcony tem powodzeniem, zawiązawszy na własną rękę listowny z Siemieńskim stosunek, w dalszym ciągu zamieściłem w Dodatku: Zamiennika, Termopile, Zaślubiny św. Katarzyny, i kilka lirycznych drobiazgów, skutkiem czego (a głównie z przyczyny „Zdaleka i Zbliska"), powziąłem mniemanie, żem jest prorokiem choć gdzieśkolwiek indziej, gdy mi się nie udało między swemi. Niestety! ze złudzenia tego wyleczył mię dopiero w lat kilkanaście, potem pierwszy mój przyjazd do Krakowa (w r. 1869). Tam, pomnę, kiedy mi Estrajcher poczciwy zalecił za konieczność odwiedzenie znakomitości miejscowych, przekonać się mogłem, że oprócz Siemieńskiego (z Szujskim poznałem się już był poprzednio

---

1.) Już to łacina od niepamiętnych czasów stała się słabą naszą stroną. Znacznie już później, po śmierci Syrokomli, któreś z pism zamieściło wiersz jego „Cupio dissolvi" przez omyłkę wydrukowawszy upio. Wszystkie pisma jak jedno, nawet uczona Biblioteka Warsz., przedrukowały za niem upio, i nikt nie zwrócił na to uwagi. Nawet niedawno jeszcze temu, ktoś (wprawdzie w Kurjerze Warszawskim), pisząc o Świecznikach Siemiradzkiego, wytłumaczył napis na ich ramie: „et tenebra zam (lucem) non compretendernat" - „a ciemności jej nie zrozumiały" - to jest zapewne: ciemności głowy sprawozdawcy - łaciny.-

2.) Sam mi raz później powiedział w zaufaniu: - Dostałem też temi dniami dwa zbiorki poezyi do ocenienia; dowiedziawszy się zaś że jednego z nich Autorem jest Książę (Giedroić, który wydał swoje poezye pod pseudonymem Kazimierza Snopka), naturalnie Księciu Panu po tbie dałem, a drugiego (zdaje mi się Maszewskiego) oceniłem jak należy.

w Warszawie), jako żywo nikt nigdy o mojem istnieniu nie słyszał. – Pan z Litwy? – pytano mię zwykle nie wiedząc od czego zacząć rozmowę (w owym czasie dużo Litwinów odwiedzało Kraków). – Nie, jestem z Warszawy – odpowiadałem, i to ułatwiało nieco zawiązanie stosunku. – Co słychać w Warszawie? jak mi się Kraków podobał? czy jadę gdzie dalej? i tym podobnie. Dopiero przy rewizytach, zasięgnąwszy wprzódy języka, mówiono coś o literaturze. – Ujejskiego zastałem raz w Bibliotece Jagielońskiej. – Poznajcież się z sobą dwaj poeci – rzekł Estrajcher. Ten zamyślony rzucił mi się na szyję, ale sądzę że to uczynił na chybił trafił, nie bardzo nawet świadom co robi. Poszliśmy ztamtąd do Franciszka Trzecieskiego – przez drogę nie mówił ani słowa, nie wiele też więcej na owej gościnie – poczem pożegnał się i odjechał do Lwowa, i już go więcej nie widziałem. Zniechęcony, nie dałem się już namówić na odwiedzenie Pola. Ociemniałego po co miałem utrudzać znajomością, do której powód z mej strony mógł mieć już tylko pozory reklamy. Na szczęście moje (bo mógłem wiecznie tego pożałować), jakoś w tym czasie czytano mu poemat mój Pod Kalinami. Dowiedziawszy się że autor jego znajduje się w Krakowie, sam życzył sobie mię poznać, – i oto jak się zawiązał stosunek, jeden z najserdeczniejszych, jak to na swojem miejscu opowiem. – Doprawdy, rzecz dziwna, ale ów tak zwany kordon, od naszej strony jest niby dla Galicyi murem Chińskim. Nie mówię już o pierwszorzędnych osobistościach, ale my tu u siebie o takich Łozińskich, ~~Asnykach~~, Powidajach, Szukiewiczach, Kłobukowskich, Zawadzkich i tylu innych, śmiem sądzić na równi stojących ze mną, mamy jak najdokładniejsze wiadomości – oni zaś o nas nic nie wiedzą, czy też wiedzieć nie chcą. To ostatnie nawet, przynajmniej w wielu razach, wydaje mi się więcej przypuszczalne. Na dowód przytoczę naprzykład pierwsze moje poznanie ze Stanisławem Tarnowskim (w Warszawie w r. 1871). Przedstawiono mię jemu jako literata. – A! Bardzo mi przyjemnie – powiedział, prosząc oraz żeby mu wyraźniej wymieniono nazwisko – widziałem jednak, że i to go niczego nie nauczyło. Dla wyjaśnienia, dodano mu: żem jest autorem Syna Gwiazdy, ale i o tem słuchał jak o żelaznym wilku. Jednak utwór ten tylko co uzyskał był zaszczytną wzmiankę na Konkursie Krakowskim, którego Tarnowski był jednym z najbardziej wpływowych sędziów. Poznałem później że mię zaliczał do motłochu, który zrobił sobie zadanie wyrzucać sromotnie z przedsionka świątyni zasługi. Jednak z Lubowskim żyje za pan brat – a ten, nie mniemam żeby był geniuszem godnym zasiąść w przytułku, w którym nawet dla Zaleskiego, Pola, Lenartowicza i Syrokomli pobytu wzbroniono. –

Wracając do stosunku mojego z Lucyanem Siemieńskim, nadmienić muszę że ten stał

21

się niebawem dla mnie jednym z najprzyjaźniejszych i wytwornego tego pisarza, którego nie waham się nazwać literackim epikurejczykiem, osobiście poznałem jak się wyżej rzekło, dopiero w r. 1869. Tymczasem zaś porozumiewaliśmy się listownie. Od samego początku dziwnie mię do siebie ośmielił. Pomijam już to, że wcale nie zasłużenie stanął w obronie pierwszych moich prób poetyckich (bo mu to mógł podszepnąć kuszący go niekiedy duch sprzeczności); sądzę jednak, że w tym względzie może mu się obiecującą wydała przyszłość młodego zapaleńca, szukającego pomysłów do powieści w szarej doli prostaczego ludu, a do poezyi – w Grecyi, choćby nie tak, jak on żądał, klassycznej. W dalszym ciągu dowiedziawszy się żem cierpiący, proponował zabrać mię z sobą na wycieczkę w Tatry, na Spiż, na Węgry. Wreszcie udzielił mi wiadomości, że się nadobre zabrał do przekładu Odyssei. Tak to on mię, że tak powiem, ku sobie ciągnął – w mniemaniu, że się doczeka we mnie godnego siebie ucznia. Że się na tem zawiódł – to już moja, a nie jego wina – zresztą, niech już będzie chociaż po połowie. Ostatecznie stosunek z nim niemało dopomógł do zwrócenia na mnie pilniejszej uwagi w Warszawie. Jakoż, niebawem, Redakcya Kroniki zamówiła u mnie powieść. Tę, aby módz spokojnie wykończyć, udałem się na wieś do krewnych w Lubelskie. Tam doszła mię smutna wiadomość o zgonie ukochanego mego Ignasia. O tem zaraz obszerniej rozpowiem. Śmierć ta acz kolwiek od dawna przewidywana, niemniej bardzo boleśnie mię dotknęła. Czas jakiś nie mogłem myśli do porządku przywołać – a tu, jak na złość, nalegano o rękopism. Przywiozłem go wreszcie – ale zanim do jego wydrukowania przyszło – Kronika istnieć przestała. Przy rozrachowaniu się wzajemnem, współwłaściciele podzielili pomiędzy siebie niewydane rękopisy, w celu pokrycia sobie niedoborów. Mój dostał się Feliksowi Sobańskiemu. zapłacony był (1000 złp) – nie miałem zkąd zwrócić wziętego honoraryum – i tak w zawieszeniu zostało.[1] W tym czasie, na jednym z poniedziałków u Łuszczewskich, zabrałem znajomość z Aleksandrem Tyszyńskim w sposób dziwnie osobliwy. Tyszyński, był to mały cienki czarnowłosy człowieczek, o długiej szyi, nieustannie wykręcający głową jak wrona, wiecznie roztargniony i niewiedzący, co się w koło niego dzieje. Siedział właśnie w tem tak licznem zawsze zebraniu jakby był sam w pustyni, i

---

1). Powieść ta (Nad Morzem), widocznie pod złą przyszła na świat gwiazdą. Nie odzyskałem jej aż w 1865 r., na samo rozpoczęcie wychodzenia Bluszczu. Nabył ją Glucksberg, i poszła od pierwszego numeru. Na nieszczęście, stało się to w mojej niebytności. Redaktorka, Marya Ilnicka, chcąc z niej w mniemaniu swojem utworzyć arcydzieło, nie spytawszy mię nawet o upoważnienie, porobiła w niej zmiany, a nawet dodatki obszerne nie do uwierzenia (édition revue corrigée et considerablement augmentée), i wszystko to wyszło pod mojem nazwiskiem. W lat parę później, Lewestam zabrawszy się do mojej skóry, osobliwie mię za ten utwór zjerdził. Wiedział bowiem że ani dowodów owej przeróbki w ręku nie mam, ani nawet, choćbym je miał, protestować nie mogę, w obec zamieszczonego mego na owym dziwotworze nazwiska. –

nb: cały podtytuł będzie mieć tylko: **AP 120 b** 22

~~ze spuścizny~~ Felicyana ~~Faleńskiego~~

z teki pośmiertnej ~~części I-ej dostarczę później~~

~~Faleński Felicyan~~

II Ze zbioru świstków podartowskich.

(Cicho)

AP 120 D

ub: motto pełnem

Ze zbioru Świstków podatowicka.

przysłowia,

w stylu nastrojowym.

epigraf.

Słów słuchają, zdziwieni,
Czyli duchem pojem:

St. Wyspiański

Ona tylko po wierzchu patrzeć umia
Im się wydaje ziemia wielka mumia

St. Rossowski.

Tytan witał rano. Las, co od świetlistych wodzy
W ramiona wietrze woń świeżą posłał im do wodzy.

K. Tetmajer.

pod rokiem 1901.

1.

Z pewnem ziarnem dobrego słowa —
Mniejsza już jak padnie które:
Kiełkiem w dół, czy kiełkiem w górę —
Plon że złoty w czas dochowa.
Garścią, czy je hej przez przetak,
Czy w pogodę, czy wśród burzy —
Można tak i można nie tak —
Bo na dwoje babka wróży. —

2.

Znany mi pewien był podsłowiek,
Trapiony aż do zwarcia powiek.
Żołądek tego podsłowieka,
Że wiecznie pusty jest, wynika.
A temu też podsłowiekowi
Kurczy się grzbiet od chłodnych zmrowi.
Widzę też tego podsłowieka,
Jak wtamy przed nim dom ucieka.
O! ty nieszczęsny podsłowiecze!
Gdy cię nadludnie wezmą w piecze,
Nad tobą marnym podsłowiekiem
Usłyszym w echu gdzieś dalekiem:
— Mydlarstwo tkwi w tym podsłowieku,
Jak szperczywy kolec w świecku. —

3.

— Jestem sobie mądre jaje,
Mądrze nawet mi się zdaje.
I świat we szerokim świecie,
Chcąc mi przeczyć, mnie nie wskóra.
Bo wiem przecie, jak to wiecie,
Że z mnie się wylęgła kura,

— 1. —

Która, ziarn szukając, śmiecie
Pazurami gdy rozgarnie,
By się nie trudziła marnie,
Perłę ciemną, co owem ziarnie,
Znaleźć, kusi ją nadzieja,
Otóż nikt mi nie zaprzeczy:
Że tych wszystkich pięknych rzeczy
Nie byłoby — gdyby nie ja. —
— Dobrze. Tylko (mimo) jaje,
Zważ; że prawie nam [illegible].
Bo są wątpliwości, które ~~[illegible]~~
Dziś niewzględnie powstaje;
Czy to jaje zniosło kurę?
Czy też kura zniosła jaje? —

4.

Sójka wybiera się za morze.
A tu czas leci, ach! jak leci!
Na jednem miejscu dzień już trzeci
Drepce, i krząta się jak może.
Trzeba się spieszyć — trudna rada.
Coraz jej z ręki coś wypada —
Co chwila czegoś zapomina.
— Ach!, nieszczęśliwa jej godzina!
Toż chyba wszyscy się skrzecili!
Łap! cap! co? w jednej, krótkiej chwili?
I tu się jeszcze nikt nie dziwi?
Tym co są dziwnie niecierpliwi,
Radząc jej [illegible] — potajemnie o porze,
Gdy ona zbiera się jak może.

5.

Dachówka, gdy się jej sprzykrzyło
Tkwić dłużej ponad strzechą zgniłą,

Postanowiła spaść na ziemię.
A tam: na czyje trafi ciemię,
I czy lekarze je wyleczą?
Jest dla niej obojętną rzeczą?
I właśnie w moją mózgownicę
Ztąpiła, krzywdząc mię ogromnie!
Bo zanim ją w powietrzu schwycę,
W łeb mi się wbiła... i już po mnie!
To widząc, sroka z płotu rzecze:
– Żałowania nie wart człecze!
To, że ci przyjdzie zbutwieć w grobie,
Jest twoją, nie dachówki zbrodnią –
Bo to nie ona szła ku tobie,
Tylko ty sam podreptałeś pod nią. –

6.

Mości Zięciu – mówi teść
Więcej mi strapiony:
Ty, jak widzę, chcesz mnie zjeść,
Żądny posag żony. –
– Widzim teściu – mówi zięć
Więcej mili szczery:
Dwa a dwa, to dla mnie pięć –
Gdy dla siebie cztery. –

7.

Zwiedzające wspólnych uciech niegdyś kluby,
Zeszli się raz dwa współbraty.
– Coś ty pan nos taki gruby? –
– A ty: skąd taki kosmaty? –
Kazali podać liczne Roederery,
Ażeby zalać robaka.
Ale z nich żaden nie rzekł prawdy szczerej.

A tu zaś rzecz była taka:
Jeden, od własnej swojej żony,
Gdzie nie chciał, za nos był wiedziony —
Drugiemu, różne: Manie, Julcie, Zosie,
Grały jak chciały na nosie.

8.

Wilk pan po polu jak i po lesie,
Nosi po gębach kogo chce,
I nikt nie śmie rzec mu; - dość.
A zaś wilka któż zamiesie?
Chyba tylko miły brat.
Bo ród wilczy z tego słynie:
Że jest każdy w tej drużynie
Sobie, nie zaś drugim, rad.

9.

Chociaż ciemne na baranie skóra,
Woła Wojtek, głosząc tejże przedaż:
— Słuchaj Żydzie! Wódki dasz?, czy nie dasz?
Ale myślę: że on nic nie wskóra.

10.

Radbyś koniem brać przeszkody,
Wśród sportowych biesiad.
Lecz się pilnuj, jeździecie młody!
Byś na ziemi nie siadł.
Bo najtęższy nawet chłop,
Gdy chce by był zdrów,
Wtedy tylko mówi „hop"
Gdy przesadził rów.

11.

— Ja się, pieśku, prosić chciałem,
Tego, com go zbił, straciłem,
Przynieś mi zająca —

A pies pana nosem trąca:
– Ten mi zając nie jest znan –
Wiesz skąd za kark brać go mam? –
A tak oto, karał pan –
A niósł w zębach, sam.

-12-

Jeśli, aż do białego rana,
Nagrymsze wana – choć tam nie pisana,
Zieloność mając w głowie, jak najżywiej
Pietruszka z pasternakiem hula. –
To cóż się dziwić, że się temu dziwi
Wyciskająca z oczu łzy cebula?

13.

Myśl jak chcesz i głową wierć –
Może, raz jedynie śmierć!
Tak jest. Jeden koniec ma:
Lew i kiełb, i dąb i pchła,
Mikrob jak i słońce.
Aż stwory sobie swój,
Że tu marny jeden kij
Miewa aż dwa końce.

14.

Podkopałeś swoje zdrowie.
Stękasz chudy i wybladły.
Włosy, zęby ci wypadły.
Słowem... – w zwykłej ludzkiej mowie –
Jesteś zdechlak co się zowie.
A tak, wiedz to miły chłopie,
Gdy ci z tego wyjdzie bieda:
Że kto pod kim dołki kopie,
Sam w nie wpada.

Raz, byłem świadkiem, jak swojego syna
Uczyła stara oślica:
— Co to za sława, jego ród zaszczyca!
Boże śmietanka tam sama!
Z kopyta świetność ową rozpoczyna
Ten, co rozumu uczył Balaama,
Gromkiemi karcąc go słowy.
Inny, słynący męstwem niezrównanym,
W Egipcie był z Chrystusem Panem.
Na tym, Pan wjeżdżał do Jerozolimy.
Ów, że w nauki sprawach był jedyny,
Robiono z niego mądre pergaminy.
Inny, z powagą wielką nie zachwianą
Relikwie nosił — więc mu się kłaniano.
Słowem, że nawet był i taki przecie,
Który lwią skórę miewał na swym grzbiecie —
A teraz, powtórz: co? i jak się stało? —
A ten jął bekać niestworzone baśnie.
Bo gdy nauk tych całych
W łeb mu kładziono, wtedy myślał właśnie
O przyjemnościach okólnika,
Gdzie się to z kwikiem tak wesoło bryka.
Więc matka gryzie go za ucho, szarpie
Zębami — ale o nic już nie pyta ...
Bo gdy mu chrząstka po długim uchu chrupnie,
Słychać z ust owej staruchy:
— Ach ty bałwanie! ach ty bydlę głupie!
Ach ty osłowiczku bezuchy! —

16.

Ukrainiec od świętego Jura,
Coś z uśmiechem rad jest wrzeszczeć „hura,"

Czyś tyż Hannow, ta jak ten męczennice,
Pół Mordwiniec, pół
Gęba twoja krzyk o wolność wszczyna,
A nahajki prosisz się plecyma.
Myślisz: żeś ty schwytał Tatarzyna —
A to on cię garścią za łeb trzyma.

17.

Smutny dzisiaj żywot wiodę!
Całowałem Icka w brodę,
By postawić się buńczucznie,
Bom rzekł sobie: — Na to stać mię,
Że sąsiadów wszystkich zaćmię,
Tak, jak belfer ćmi swe szamie. —
I postawę pańską zmiałem —
Dziś w dół nos mam z państwem całem.
Zastawiałem srebrem stoły,
Pewny, że wrażenie sprawię —
Dziś się w kącie chowam goły,
Bo zastawa jest w zastawie.
Hej! hej! staw się, choć brnieś w długi!
Czyś ty gorszy niż kto drugi?
Kto ci szykiem pod nos kręci,
Tyś mu kurz o półtora szyku.
Mówię, Waści Komorniku;
Że ten staw mój był ze dniż,
A grobelka nie zbyt wielka;
A ja mówię najotwarciej:
Bierz was razem z piekła czarci
Ciebie i twe wszystkie Icki!
Bo jak trafnie rzekł Rozbicki;

„Byłbym wielki cymbał,
Ciebie się gdybym bał."

.18.

Niegraj Wojtku ktorz oraz,
Bo wiem, wpadłbyś tam w ambaras,
Możesz przegrać — przegrać możesz —
Co takiego?.. powiem zaraz.
Jedni: mówią — portki — ale
Słowa tego ja nie chwalę —
Jeno powiem ci łagodnie:
Że tem przegrać możesz — spodnie.

.19.

Wlazła świnia w ogród szkody.
— Huzia na nią — państwa szkody.
Aż i psów się zgraja ruszy.
Ten za grzbiet ją, ten za uszy.
Wielce zmykała z tych poswarek,
Aż jej ogon zcierpł w grajcarek.
Ach! czyliż się to godziło
Dać odprawę tak niemiłą
Tej, co przecie kwiecie zdoła,
Choć nie krewna jest kwiczoła.
Ona zaś (i w tem jej chwała).
Ni z zachwyceniem byle jakiem,
Ani z wyrazem kijem,
Ale własnym swoim ryjem,
Trufli tam powykiwała —
Które pańskiem są przysmakiem.

.20.

W dzień powszedni, gdym jest sam,
Jadam skromnie to co mam:

Polędwicę, pieczeń z rożna,
Drób, zwierzynę, a gdy można
Baranika — daję słowo
Że mi jakoś z tem jest zdrowo.
Ale za to, gdy w Niedzielę
Zjadą moi przyjaciele,
To się chętnie z niemi dzielę
Stawiąc im w potrawie cielę.

.21.-

Mam przy każdéj szparze ucho,
I przy każdéj oko dziurce
Ale bawię się tu w twórcę,
Gdy brach pusty w gardle sucho!
— Redaktorze! błagam, pan każe:
Bym choć mógł z twej kuchni jeść.
Gdyż od wiersza, żem jest wierszmiankarz,
Biorę tylko groszy sześć.—
— Że ci twoja zwykła praca.
Ukrt nam panem nie wypłaca,
To, że wart jest Pac pałaca,
Jaki pałac Paca.—

22.

Z kasy swojego pryncypała,
Tam.., gdzie pieprz rośnie Ameryka,
Szczęśliwie kantorowicz zmyka.
W tem się na morzu rozhulała
Burza, gdy tył mu dał Europie
— Aj! — woła — jak się tu utopię! —
— Nie trwóż się — rzecze mu Merkury —
Ja cię w złodziejskiej mam obronie,
Wyjdziemy tylko, stąd się dziury —
Bo, co ma wisieć, nie utonie,

.23.

– Gdzie jabłko – tak uparcie
Szeptał Czart naszej Macierzy.
– Kiedy nie wiem, Mości Czarcie,
Gdzie to jabłko leży?–
Więc on chytrze mruka do niej,
Mrugając powieką:
– Czyj to jabłko tak daleko
Leży od jabłoni?–

Tylko się schyliź. Cóż, gdy, Matka Ewa,
Wytwornej z serca nie zdejmując pychy,
Swe mimowładne przymrużenia miewa.
– Co? co? wziąść wszystkiem opadałek lichy?–
Ona najbliższą gałąź w ręce bierze,
I z niej swe zmiało jabłko całkiem świeże.
Ugryzła – kwaśne! – Ale nic.
Zjadła je, mając to na względzie,
Że się spisała tak jak tyje
Z którego Adam śmiać się będzie.
A oto od tej złej godziny,
Mamy wszyscy owej Ewy syny,
Zarówno w Grudnie jak i w Sierpniu,
Smak w zębach dotychczas cierpnie.–

.24.

Niebawem, wabo, ty warchołów zgrajo,
Twój gniewne Ugodowców ~~[illegible]~~ szczene,
Że mi pieski w gębie tak latają,
Aż się z zębów tęgi ogień krzesze.
Bo się zdarza chęć tak dobrotliwa,
Że się człowiek nisko przed nią kłania.
Pan mi Kozick sprawić obiecywa –
Więc mi ciepło z tego obiecania.–

.25.

— No, mieniajmy się synowie,
Niech języki zgasną.—
Lecz zna tamten chyżi łowie,
A ten ślamazarne.
Stryj w synowca okiem zerka.
Ai, z tych facecyjek,
U tamtego jest siekierka,
Ten ma w ręku kijek.

.26.

Siedzi sobie mysz pod miotłą.
— Żyg - żyg - kocie! Żyg marchewka!—
Lecz, że dusza jest w niej krewka,
Gdy ją w grzbiecie coś ugniotło,
Krzynkę chciała w chwili onej
Zejść w bok — i już... ani zipie —
Kotu, kot ją, łaps! w swe szpony.
Tedy kogut na jej stypie
Szumnie zapiał: Kukuryku!
— Nie chodź smyku po capstrzyku.—

.27.

— Gdzieś się upił mój kochany!
Krążąc aż nad ranem,
Zataczając się o ściany,
Z okiem podbijanem.—
— Czy chcesz wiedzieć moja luba:
W czem jest mądrość cara?
Pije Kuba do Jakóba,
Jakub do Michała.—

.28.

— Boli mię bok i kaszlą płuca,
Żeś poniewierczy stecze!

Dla innej zmyłki znnie twój pożucza
A ten jej tak odrzecze:
– Żeś mi nie piękną jest, ale brzydką,
I lica masz bladawe,
To chodzi na kołek nowe sitko,
A stare idzie pod ławę. –

.29.

Świat z chwilą każdą innym co się zowie!
Oto starościna dobrze zasłużona
Społeczne mając na uwadze zdrowie,
Sterali się już starostowie,
A Kapucynom „caput" uczyniono.
Więc dziś, gdy pragniesz wybrać drogę prostą,
To z niej w wybrane życiem jest jedynem:
Że tylko możesz zostać postarostą,
Albo też pokapucynem.

.30.

– Achillesie! Cudnie cieszy!
Twoją mi piętę pokaż prosę.
Bo w zbieraniu rzadkich rzeczy
Niewymownie znam rozkoszę! –
Panie Boże! dać mi nie racz
Mieć to więcej przed oczyma!
Bowiem – patrz – a mój zbieracz
Za swój nos się garścią trzyma.
– Cóż tak lica twe spuchnięte,
Jakbyś to się dignęło os? –
– To Achilles podniósł piętę,
I tak mnie kopnął w nos. –

31.

No – polędwica pieczona rzecz
 Podana suchowato.
Ale się ty indyku piecz,
 Nic nie zważając na to.
I w truflach twoją istność przyczaj –
 Niech woń w pieczarkach byka!
Bo to wyborny jest obyczaj:
 Czekwita z byka za indyka.

32.

Siedzę nad rwistą życia strugą,
Z wędką powabów mego ciała,
U której haczyk tkwi jak strzała.
— Ach! Byle za mąż wyjść niedługo!
Hej! Kto tam zechce być mym sługą,
Bym starą panną nie została? —

Drga piórko na włosianej nici...
 — Gdyby choć urwis świadom zdrad,
 Lub siwy lecz bogaty dziad!
Cóż, gdy to ludzie nieużyci.
Przynęty żaden ani chwyci,
 I każdy sobie tylko rad. —

— Patrz. Królówka Boża w blaskach słonka
 Odlecieć z rąk twych rwie się wciąż.
 Cichu panienko w ślad jej dąż!
Toż może wreszcie choć biedronka
Sprawi: że ~~słowik~~ z łowin gdzieś mężonka —
 Lecz tylko... czy to będzie — Mąż?

33.

Zwyczajem niezłomnego prawa,
Wracamy z morskich gdzieś kąpieli.
Cóżeśmy się z Niemców tam naśmieli!
Codzień: obiadek, wint, zabawa,
Gdzie sztek za sztereck gad wydawa.
Ach! Jakieśmy weseli!

Niech raz się ustachcić w Pana zmieni!
Wszyscy tu w pełnej czci postaci.
„Pan Hrabie". — za to im się płaci.
Stoją we frakach, w dół schyleni.
Ja ich tu wszystkich mam w kieszeni.
Ach! Jakieśmy bogaci!

Wszystko tu, pańskość wre zajadła.
— Hej! ty tam Johann, czy Serwacy!
Wszystko, na srebrnej zwróć mi tacy.
Dywany wszędzie i zwierciadła.
Golizno! bodajś precz przepadła!
Czyż my to lada jacy?

Cóż tam na obiad dan nam błaźnie?
Prócz ptactwa - ryby? - jak w Suchedni?
A! morskie. No - to kąsek przedni.
Żołądka byle sen nie drażnił.
Bośmy nawykli żyć pokaźnie.
Jesteśmy też wybredni!

A jakież wina mamy nie tanie?
Wstaw je tam wnet z etykietów konc.
Co! co! trzy reńskie flaszka! precz.
U nas to, widzim, mój Stanie,

Takiem się robi wstrząsanie.
O! boimy się smakowe.

—

Ten drwił z nas, tak mi się wydało,
Gdy, przy szampanie, po przemowie,
Piliśmy cenne nasze zdrowie.
— Dowiedz się kiedyś świniopasało:
Żeś kiep! — a wyjmij gębę cało
Nie byle skąd panowie. —

—

Gróz w mej parafii, święta wszędzie
Ktej wodzę! Boję przyznam: u mnie
Nie ma co robić. Ostatki w gumnie,
A Szmul ma Wólkę we w arendzie.
Lecz podług mnie — to, jakoś jakoś będzie,
Z zyskiem — no — i rozumnie.

— 34 —

Mówiono zwykle w dawnej porze,
Kiedy w podwórku chłopcy mali
Bywało w wojnę się bawiali,
Gdy u jednego pięść była tęga
A u drugiego słaba;
— Wstydźże się Janie! czyś ty ciemięga —
Jak jaka baba! —

—

A dziś w salonie, gdy najżywiej
Dziewcząt wątłych gromada
W kongres się feministek bawi,
Tak im przecie powiada,
Jeżeli posądzono którą
O męskie braki:

— Wstydźże się Maniu! Nie bądź sroga —
Jakby mężczyzna jaki. —

.35.

Jestem sobie rodem z Wrześni,
Więc na spór biorę,
Ani później, ani wcześniej,
Ale w samą porę.
Boć to przecież wiek dwudziesty,
Z tneiwych pójść swych wszechwładcą —
Więc się dziś krzyżackie chrzesty
Chyba psu na budę zdadzą.
Brutal, brzęcząc w kufel, straszy:
Że potrafi zjeść mię w kaszy.
Wiedzcież Niemce ukochane
Jeśliście ciekawi:
Że mu kość ta w gardle stanie,
Aż się więc udławi. —
Prawił Bismark w mądrej mowie,
Gdy Francuzom z fajki dymy
Pod nos puszczał: — My Niemcowie,
Tylko Boga się boimy. —
Więc z przyczyny tejże samej,
My, chcąc pomścić krzywdę swoją,
Właśnie w Bogu Tym ufamy
Którego się Niemcy boją. —

.36.

O! jak mi przykro Marku miły,
W którym próżniaków króla znam,
Że, po szampanie, wprost z mogiły
Zawędrześ — dokąd? nie wiem sam!
I od wrót Raju odegnany,

Nie możesz trafić między czarty,
Owszem, u każdej ciemnej ściany
Rozkrwawiasz sobie nos zadarty.
Tyś choć pomyśleć mógł nieboże,
Gdyś twe wesołe żegnał grono:
Byś się tam na tutejszym dworze
Zaszczytnie komu polecono.
Jadłeś, piłeś mój kolego,
Z rąk nie wypuszczałeś kart, —
I byłeś człowiek do niczego,
A teraz jesteś lichy czart.

37.

— Nie. Za nic nie pójdziecie do teatru więcej
Nie wezmę z sobą mojej Matki.
Mimo że, długich tyle już miesięcy
Pracuję nad nią w cierpliwości rzadkiej
Ona tu — byle pomysł głębszy jaki —
Byle mistyczny zachwyt nad otchłanią
Lubieżnych dreszczów — takie piekła znaki,
Że, słowo daję, wstyd mi było za nią.
Więc, na Kongresie, który działać pocznie
Prezeską jego Ninta gdy zostanie,
Ja wniosek stawiam: że już czas niezwłocznie
Rozpocząć naszych Matek wychowanie. —

38.

Dawnemi czasy (któż dziś pojąć zdoła)
By Lenart wart był Marty swej, a Marta
Lenarta mogła być warta,
Panna być miała brzydną od anioła,
A zaś młodzieniec, dobrze, jeśli zgoła
Wyglądał gładszy od Czarta.

21
32

.39.

Wczoraj wracam ze śniadanka.
Co krok, to jakaś niespodzianka,
Zatacza się na mojej drodze.
Tu słup, tam brama, ściana, drzewo,
Ja im starannie na bok schodzę –
Nic nie pomaga. W prawo, w lewo,
Odpycham gościa ile mogę:
Latarnię, drzewo, bramę, ścianę.
Ho! Ja im na złość w domu stanę –
Niech przecież noga wspiera nogę.
No – jestem już u siebie. Żona
Wychodzi do mnie zaperzona.
Patrzy mi w ręce. – Krew masz na niej! –
– Zapiówka? co? O! moja, pani!
Cóż to ty myślisz? Do śniadanka:
Ostrygi, śledź, porteru szklanka,
Homary, trufle, ser z za granic,
Tych rzeczy przecież nie miej za nic!
I szampan także jest nie tani!
Brud? co? od czegoż względy, myje?
Bo przecież ręka rękę myje. –
Mam przyjaciela od butelki.
Mówię mu: – Myj! – On, z chęci wielkiej,
Trze aż do samej krwi niebodwie,
A brud się jakoś ani zmniejsza!
– Do dyabła! Ręce te obiedwie
Jedna od drugiej brudniejsza.

.40.

Mam sobie główkę jak makówkę,
I w niej rozumek nie lada.

A tci dowcipu Bolec taki,
Że, gdy wyglanam bliźnich braki,
To nikt mnie w tem nie przegada.
Lecz, choć mam tak wydatną wiedzę,
Kto nie chce sobie zmysł zaufania —
Stąd nie wiem: czemu wykazać wiedzę
Bez należnego uznania? —
— Ja ci powiem — rzecz to bowiem
Wszystkim znana:
Jesteś tylko marną szpilką
W furze siana. —

41.

Co rok sumiennie jeżdżę pić Karlsbady,
I święcie pełnię różnych ruchów trudy
Bym z czerwonego mógł się zrobić blady,
I bym z grubego był chudy.
A ten mój sąsiad i poddany
Cienki jest aż do zazdrości.
No — siedem, słyszę, dni w tygodniu pości.
Dam mu co z łaski — boć to przecię znana
Powinność wspierać — choć to czasy trudne!
A tak, czyn dobry pełniąc, mam nadzieję:
Że, kiedy on pogrubieje,
To ja tymczasem wychudnę,
Czem się wyrówna nasza wspólna dola
Gdy między sobą ją wymienim.
A ten — słyszę — umarł! — O! Za pozwoleniem!
Żeby zaś chudy zaraz umarł! — Hola!
To ja już moją dychawicę wolę,
I ten jak bęben brzuch, i pot na czole,
I to, żem wagi tej co hippotam.

No – no – opartym wiernem wciągi mój zową
Nienajedzeni głupcy – ale – co tam!
O śmierci myśleć nie jest nawet zdrowo.
Chybaby żółwia po nią posłać, który,
W swym szybkim pędzie,
Sto lat iść będzie.

A jeszcze lepiej gdzieś z podwodnej dziury
Raka w skorupie, który, w tej odzieży,
Zwyczajem swoim postępując tyłem,
Z poselstwem owem wcale nie zbyt miłem
W przeciwną stronę pobieży –

42.

Ninie na wzniesieniu siada,
Zagaja temi słowy
Kongres międzyludnościowy:
– Oto naszych Rad Nadrzeda!
Dzieci rodzić nie jest warto –
Bo to marna czasu strata.
Mówią z gębą wciąż otwartą:
– Gdzie Mamusia? nie wie Tata? –
– U Hessego przed wystawą,
Lub na radzie Feministek. –
A ten tatuś, wielki chłystek,
W winta gra, i niedość żwawo
Wraca w dom, jak wszyscy owi
Klubowicze. – Więc tu prawo
Takie odtąd się stanowi:
Swemu niech podkołowiekowi
Każda powie: „Jam tu – nie ty!”
Bo tak mieć chcą Nadkobiety. –
Więc Zenejda, na tem świecie,
Wielbiąc błogie przedsięwzięcie,

Gdy ta klaskać jęła zawzięcie,
Rzekła Ninka tej Zenejdzie:
– Góra z górą się nie zejdzie –
Bo z nas, niechże kto ruszy którą?
Gdyśmy wszystkie jedną górą!
Cobądź robisz: to, czy nie to,
„Chciej być zawsze Nadkobietą.
Gdy ci ładną być wypadło –
To z lubością patrz w zwierciadło.
A gdyś brzydka – nie psuj lustra."
Tak nauczał Zaratustra.

43.

O! jakże świat jest zamglony!
I nie słoneczny już, lecz siny!
Gdzie spojrzysz, z każdej tylko strony:
Mydlarstwo, mydło i mydliny.
Zabłocki wszędzie huk – i co tu
Z bankructy temi jest kłopotu!
Gdybyście jednak, piękne panie,
Zawsze chciały wielkie pranie,
To i Zabłocki, choć ze stratą,
Możeby wam się zdali na to:
By czysta mogła być koszula,
W której się nagi człek otula;
Choć, z drugiej strony, każdy przyzna,
Kto dość cywilnej ma odwagi:
Że chyba tylko Nadbielizna,
Osłoni bezwstyd duszy nagiej.

44.

Wygrałeś – cieszysz się niebożę.
A jest twa korzyść tylko warta,

Co warta praca w służbie Czarta.
Bo nawet świnia na wygonie
Pastucha swego ograć może -
Byle jej posłużyła karta.

45.

Byłam poważna i snadź gładka,
Bo wielbiciele się tłumnie
Roili, jak plewy w gumnie.
- Wybierz jak chcesz - tak rzekła Matka -
Życie ci może pójść jak z płatka,
Tylko - twój posąg miej ku mnie. -

Wybrałam. Niebo mam za świadka:
Żem nie jest bardzo płocha.
I mąż mnie niby kocha.
Lecz w domu własnym bywa z rzadka,
I wszyscy mi mówią: że ta Matka
Nie Matka, lecz macocha.

Aż raz znienacka, strojąc fochy,
Gdzieś pomknął w świat, jak strzała.
A ja, osamotniała,
Nie straciwszy ani trochy,
Mam posąg u tej, co z macochy
Znów mi się matką stała.

46.

Japoński dzielny Herkulesie!
Choć to ci sławy nie umniejszy,
Zwierz, co się na swym grzbiecie niesie,
Od ciebie zda mi się piękniejszy.
Lecz może choć twój smak pochwalę!
Więc wskaż mi prędko twą Omfalę?
Ah, ta co w zwierciadełko patrzy?
No - w niej powierzchni trudno gładniej -

Jednak się ona znamy wypełnie,
Mając powtórzyć tę Omfalę.
Ot, dla takiej, w groźnym szale,
On mąż, nie złamany łeb swój, ale
Łeb sądzę, że mniej brzydki, ładnie?!
A ja w Europę gnam co prędzej,
Japoński, po japońsku piękne.
Choć, wziąwszy w kark, przed wami klęknę —
Po niemniej, wyzdłam dość przykładny,
Wiem: że się nie zakocham w żadnej. —

47.

Dziwny narodzie: Krzemiankarze!
"Skacz wraże jak pan każe."
„Że kto upadł — wielkie rzeczy!
Każdy z nich na gwałt mi skrzeczy.
Oto, w klubie na Łyżwiarzy,
(Choć wyłganie od ślizgawek
Mam bobrowy zarękawek),
Jak się nie mnie jednej zdarzy,
Gadam zwinnie — Lecz cóż to — jeśli
Bardzo prędko mnie podnieśli,
I znów, stoję prosto. Zonia,
Że tam spadła sobie z konia,
Warto trąbić? Wszak widziano
Tylko jedno jej kolano,
I nikt nawet nie wie: które?
Albo Mania, że, z kołowca,
Tuż przy pierwszym od smołowca,
Wpadła w dół nogami wgórę... —
O Wszechmądry Waspanowie!
Wy wto wierzyć nie raczycie:
Że w rozpokach pędzić życie,

Lecz z zastanowieniem w głowie,
Można wypaść co się zowie —
Byle tylko przyzwoicie. —

48.

Ach! niech z drażniących wzruszeń tyś ochroną!
Wiem Mańka — wyjmę wszystkie wrodzone
Zbrodniarki — daję słowo — święci kto przeczy!
Gdy w Złotem Runie, ten nam wzniosłe rzeczy
Godząc oddano — to ci mówię, cała
Sala się trzęsła — a jam tak klaskała,
Aż strach czy w palcach kurczu nie dostanę.
Żal mi jedynie było rękawiczek.
Nie całkiem brudne — choć mi dwakroć prane.
Ale u jednej urwał się guziczek,
A u nas, trzeba wiedzieć, w całym domu
Podobnej rzeczy nie ma przyszyć komu.
Co mówisz na to? Taka ci zbrodniarka:
To nie do igły, lalki albo garnka,
Lecz aby wiedzieć, która świat oświeci,
Szerzyć — i sobie żyć, nie rodząc dzieci.
A cóż mężczyźni warci? gdy przygodnie,
Nie z urodzenia, uprawiają zbrodnię?
Bo się tu zgadza Przybyszewski ze mną:
Że w tych pracowniach jest wogóle ciemno.
Ojciec nic nie winien temu, że się stara:
Aby mu pięścią po karku dawała kara.
Aj! Zapomniałam, że mam niesłychanie
Nudne na jutro z algebry zadanie.
Proszę cię, moja droga, dam ci za to
Gorset dla lalki podkładany watą,
Tylko to dla mnie zrób — a ja dokładnie
Na czas przepiszę. Bo mi tak wypadnie,

Że ta zbrodniarka urodzona Madam
Trójki mi nędznej z Fizyologii nie dał!
Co? Ty ołówek jesz? A ja powiadam:
Że od ołówka jest smaczniejsza kreda.

49.

— Wiesz ty? Ja bezkrwista Mania.
Której znowu do jadania:
Węgle, kredę i ołówek,
Za co, od tej tam jejmości,
Miałem już na osobności
Bardzo dużo słodkich słówek —
Ta, co tykać się pozwala —
Wiesz ty co to jest za lala?
Wczoraj, na ślizgawce, oto
Ładna, — nóżkę ma jak złoto.
Więc powiadam do tej ryby:
— Życzę Mania mieć obuwie,
To ja, poprawiając niby,
Ucałuję tę nóżunię. —
A ta, głupia i zawołała,
W głos, w ogrodzie, wojenny sanek,
Wobec kilku koleżanek,
Wiesz co na to powiedziała?
— Patrzcie. Ten młamek drąga
Chce być między nemi długi.
Papierosem się zaciąga,
W Lotka gra i klnie — a siedzi
W trzeciej klasie rok już drugi. —
A ja na to w odpowiedzi
Tak jej wypaliłem szparko:
— Żem dwa lata w trzeciej klasie,
Bo tak chcę — a tobie zasię

Urodzonaś ty zbrodniarko!
Dobrze mówi „Rucery" po Rusinie:
Żeście matek swych córunie
A Mansonius dopowiada:
Że w was tylko złość i zdrada...
Odtąd puszczam w trąbę grzmiącą
Lalki te co mydłem trącą,
I pnenone do spiatek
Ingrutył zwycięstw mych nadzieję.—
Jak to wierzcie że ostatek
Doświadczeniem człek mądrzeje.

50.

Słuchajcie bracia Kodrzyje!
Źle się na świecie pijanym dzieje!
Nie chcę się chwalić — lecz, żem szczery,
To pytam: komu też jest dano
W kotylionowe mieć ordery
Jak ja pierś żartkiem obsypaną?
I cóż? ta taka gromka chwała
Dziś psu na budę mi się zdała!
Sam — pomnę — dycham zpracowany —
W brzuchu mi burczy — oj! dokata!
A tu, jak na to, popnes ściany
Woń kolacyjki mi dolata.
Krzyknąłem smutnie: — Wszystkie psy! —
I runął nawet Konic psiary.
A ja, na stole, tak żarliwie
Grzmię, że aż sam się sobie dziwię.
Lecz gdym, jak nieraz widzieliście,
Hołubca wierzgnąć chciał siarczyście,
Wtem znagła rzecz się stała taka:

Czem polewą, Kieszeń mego fraka
Wpakował sobie pomroś nogę.
Padłem. Probuję wstać — nie mogę.
Samy wrzask — Stanęli mi panowie.
Aż diabli zwieźli pogotowie,
Które mię prosto do szpitala
Z tych nas Terkoczych miejsc oddala.
A gdy tam drudzy biegną szparko,
Dać swym żołądkom pasztowanie —
Bądź zdrów homarze, i ty starko!
I ty sarnino, i szampanie!
Oto, człek dni próżno zerka:
Zkądby mu mogła przyjść zupieska?
I, co hrabiowie nawet sami
Wpród mi nie śmiali stawać w drodze —
Dziś ja, z wszystkiemi orderami,
Lada warniakom z drogi schodzę. —

51.

Krzyżyku z liczem żółto=bladem!
Dochrapałeś jesteś ty pradziadem.
Ty, wiernie mi, od żony drogiej,
Z góry ci znane, nosim rogi.
A gdy ci z tego konyść zwiera,
Podobnyś do połowy sera.
Aż wreszcie, z podeszłemi laty,
Sucotowatyś i pękaty.
A choć w zmniejszeniu skończym życie,
Chwalonyś na grobowej płycie.
O śmiarnie nigdy nikt nie powie,
Że to o tobie jest przysłowie:
„Na kim się zmiele — na tym skrupi."
Bo sam widziałem rzecz takową,

Że, gdy się rodził Gaweł głupi,
Tyś kiwał, nie zaś kręcił głową. —

52.

Dał mi pryncypał, zdaje mi się wczoraj,
Do odniesienia liche pięćset rubli,
Lecz wnet mnie w karty klubowicze skubli,
Reszta zaś poszła w Totalizatora.
Do Ameryki nie mam zmykać za co.
A do kantoru nie mam wracać po co.
Więc gardzę tobą, ty banalna praco!
Którą się w kasach tuzinkowcy pocą,
I potem wstrętnie filisterstwem cuchną. —
Ma słuszność Berent, twierdząc, że to „próchno".
Choć też mych własnych wyjątkiem, jak widzę.
Bom to już mówił Mani, czy Jadwidze,
Czy z krakowskiego którejś tam przedmieścia.
Nie. Z nich już każda ma po lat dwadzieścia.
Pewniem to mówił mej najdroższej Nini,
Której z pod serca rad wygarniam wszystko,
Choć jeszcze kusą jest pogimnazistką.
— Niech się nam odtąd święci Shakia Muni!
Z niego się istność Nadustowicza dowie:
Co jest „pustkowie", a co „Twórcze Zdrowie".
Zatem, rzuciwszy w trąbę znojne trudy,
W ślad Buddy, z owej nieidealnej budy,
Którą swą Giełdą zowie świat nazwany —
Zasławny krocie, wskoczym do Nirwany. —

53.

Od dnia Potopu świat się przerabia.
Stąd, bywa nieraz, że w sposób wzniosły,
Praojców swoich wnuki przerosły.

Borna się tylko: Żyd i ciężki krabia:
— Po coteż Noe brał do korabia
Świnie i osły? —

54.

Są to podnieśty więcej niż złowienne,
Gdy żołądkowe zachcenia,
Człek zbyt usilnie przecenia,
Mówiąc: — Jem tyle, ile w siebie zmieszczę. —
Z niedojedzenia nikt nie umarł jeszcze,
A tylko z głodu, albo z przejedzenia. —

55.

Że dziś Kaina kto chce przeklina,
I na cześć tego bandyty
W piekle najtkliwne brzmią zgrzyty,
Kochany Ablu! twoja to wina.
Bo gdybyś ty był zabił Kaina.
Nie byłbyś przecież zabity. —

56.

Złość znała, że gromie licznych towarzyszy,
Największy nawet umysł ośmiesza.
Tak: z dzielnego wczesny przez Popiela.
Też on w śmiertelnych pałacach ledwie dyszy,
Zgubiony będąc: nie od jednej myszy,
Ale od wiela. —

57.

Wilku, nieszczęsne!
Pilnie strzeż twej skóry.
Gdy z was tęskniąc który
Dnie wspomina słodne,
Woń, co łzy mu otrze,
W pałacach zna pamięć.

Są też zęby w ręce,

Z silną żądz oskomą.
Więc ci będzie wiadomo:
Żeś choć wpadł w zwierzyńce,
Nieraz w uliczce szyce,
Łapus łapo – łakomo! –

.58.

Zajrzyjmy też w tę starą kuchnię
Gdzie, niegdyś, w sposób niezbyt rzadki,
W imię przedwiecznej gospodarki,
Która już z dala pleśnią cuchnie,
W kurzu, w pajęczych matniach, w próchnie,
Trzymano malowane garnki

Gaczkowane w barwie sinej,
Jak ledwie oko ścierpi czyje,
Z wonią co w nos stęchlizną bije,
W nich, to bez celu i przyczyny,
Chowali starzy swe mydliny,
Godne jedynie iść w pomyje.

Gdybyście, z pośród nich, jeśli
Za mętność wreszcie kark im kręci,
Choćby politowaniem tknięci,
Jednego sobie wziąć nie chcieli, —
Nim wszystkie, w czasów tych topieli,
Już będą świętej niepamięci?

No. Choć jednego. Cóż? — nie chcecie!
Wprawdzie wam korzyść z nich nie żyzna,
Ale mi każdy chętnie przyzna:
Że nawet, jako rzadkość, przecię
W osobliwości gabinecie,
Udałaby ta staroświecczyzna.

Nie? No więc wiedz Mądrości Młoda:
Że przygrzmotnięcie je o ścianę,
Czy pieniądz od was jeszcze dostanę—
Ani mi ujmy to nie doda,
Ni mego łba nie będzie szkoda—
Bo jednak są tylko— malowane.

59.

Czy znasz ty kraj ten, kędy w błyskach zorzy,
Mróz trzaskający iskrzy się i sroży!
Gdzie tylko pewną petersburską chwały:
Cielaki morskie i niedźwiedzie białe?
Czy znasz ten kraj? – Ach! tam, o moja miła!
Tam bym ja zmarzł – choćbyś ty ze mną była.

—

Czy znasz ty kraj ten? – Tam to, Czynownika,
Jak nigdzie, taki gorzki pech spotyka:
Że mi on zrobi donos, mi też skradnie
Zapówkę swoją, lub coś gdzie wykradnie.
Czy znasz ten kraj? – Ach! tam o moja Miła!
Tam bym ja zmarzł – choćbyś ty przy mnie była.

—

Kraj, co go władza nie chce znać Cerkiewna!
Bo tam, od rubla droższy kawał drewna.
Tam, człeka, co ma nóż, bogaczem zowią,
Tam, pies jest koniem, a jelonka krową.
Czy znasz ten kraj? – Ach! tam, o moja Miła!
Tam bym ja zmarzł – choćbyś ty przy mnie była.

—

Czy znasz ty kraj ten? Chleba on nie daje,
Lecz się w nim Carskie lęgną gronostaje,
Dla dworu sobol bobrem oprawiony,
A zaś dla Frejlin miękkie edredony.

Czy znasz ten kraj? Ach! tam, o moja Miła!
Tam bym ja zmarzł — szczęśliwy przy mnie była.

Lecz nie. Tam, po to, w pełnej swej cudnie.
Całkowitego światła śle południe:
By nie on, od nich, lecz od niego oni
Szli precz! — Więc nawet, w czarnej tej ustroni,
W tych z mroków wiecznych, w tem oprawnem ziemnie,
Raj ziemski znalazłbym — byle była przy mnie. —

.60.

O! ty niedarne brevis vita!
Drapieżny kark gdy czas ci skręci,
To wtedy ciebie najpewniejsi
W swe szpony Zapomnienie chwyta,
Tak, że jak świstkiem rzecz pozbyta,
Wpadasz w świętej Niepamięci.

Gdzie to pewniej śmierć się zetrze
Oznaczyć, co się zwie Ars longa!
Ta bowiem wzorem dziwolągu
Pomierzonego termometrze, —
W miarę, jak tego chce powietrze: —
To się zimnem kurczy, to rozciąga.

I choć ją kiedy pchnę do zera
Zobojętniałym prądem tknięci,
Ona, znać nie chcąc Niepamięci,
Ku Wiośnie tchnąwszy, słońcem zabiera —
Z niczego się słowo twórczą Era,
Która jej cześć z powrotem święci. —

61.

— Kto tam? — Ja! — Słyszę. Ale, kto to taki? —
— Mądrość. — Ach! Nudna jak z olejem flaki!
Przekonana jest święcie,
Spokojność znając w dziwnym wstręcie:
Że sobą nam wartości doda!
Nie, moja Jejmość. Zbyt jest jeszcze rano.
Może tymczasem pójdziesz kędyś dalej,
Gdzie jesteś więcej pożądana...
Myśmy się nie zapracowali.

— Kto tam? — Swój! — Ale jaki swój? — No, Szkoda! —
— Ach! to dopiero! Coś tam znów do Czarta!
Czy to tu zajazd? karczma? lub gospoda,
Leda przyjezdnym otwarta?
Żeby zaś Szkoda stoi przy jak najraniej
Przychodził zatruwać życie —
Od tego język pośpiesznie w gardle zniemy!
Nie. To nie do nas. Wynoś się z Karami.
My tu, potrudzeni w błogiej snu przystani,
Nigdy dość niewypoczowani,
Na oba my sobie śpiemy
I jest nam z tem przyjemnie. —
— A! Nie — mój panie. Tak znów źle nie będzie.
Właśnie spotkała Mądrość na mej drodze,
Którąście, wielce serca gniewem, zmyli!
Zadrwi, na stary świat, wyprawili.
Więc ja, pożytek znając wam, na względzie
Moim przemysłom, na wypadek wszelki,
W miejsce tej wstrętnej wam nauczycielki,
Rozumu uczyć was przychodzę.

.62.

Ktobądź gołębki znaczne dla nas pieśne,
Wyrozumienie powinien mieć człowieczne,
Że trzeba: izby, gniazdo te sprzęgały,
Niezpieczone skrzydła zatrzymały;
A których, one, w ranie zaiędania,
Gdzich kutemu tkliwa prośba skłania,
Za nam straty, z dobrej chęci, wiodą
Wprost z ręką, w nasze gęby rozdziawioną. —

.63.

Mówicie: — Duma, to szlachetna siła
Popędów twórczych, jeśli tylko była
Godności własnej przeodrodna siła.
A przecież także prawo sobie rości
Do macierzyństwa jakiejbądź godności
Septentrionowych Mężów Duma, która
W wiernopoddańcze strojąc się zachwyty,
Z tego jest dumna, iż wiele wydumała:
„By równie koza mogła nie być cała —
Jak i wilk nie zmógł być syty."

41

34
30
1020